

## Biuletyn Nauczycieli POLIN Nr 4/2017

## Spis treści

	Drodzy Czytelnicy, Drogie Czytelniczki	3
	List otwarty nauczycieli przeciwko manipulowaniu historią najnowszą Polski	4
Adam Musiał	Quo vadis, natio? Nauczycielskie rozważania o polskości.	5
Yaron (Karol) Becker	Mieliśmy trochę szczęścia w tym ogromnym nieszczęściu	13
Katarzyna Łaziuk	„Mam marzenie”	29
	Noty o książkach	32

## Drodzy Czytelnicy, Drogie Czytelniczki

Od naszego ostatniego spotkania upłynęło sporo czasu. Podobnie jak w minionym okresie wiele się wydarzyło, podjęto wiele ważnych decyzji i postanowień w obszarze edukacji.

Muzeum POLIN cieszy się nieustannie zainteresowaniem zwiedzających, zarówno indywidualnych jak i zorganizowanych grup, w tym młodzieży. W 2016 roku na ogólną liczbę 318549 zwiedzających 24261 to uczennice i uczniowie polskich szkół wszystkich etapów kształcenia. Stanowili oni 7,6% wszystkich zwiedzających muzealną wystawę stałą. Z oferty działu edukacji w postaci warsztatów tematycznych, spotkań ze świadkami historii i innych skorzystało 15429 uczennic i uczniów, a w różnych formach doskonalenia (warsztaty, wykłady, seminaria i inne.) wzięło udział 4041 nauczycieli i nauczycielek.

Jak się wydaje Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN zdobyło sobie stałe miejsce w krajobrazie edukacyjnym Polski. Jest miejscem, w którym w nowoczesny i atrakcyjny sposób nasi uczniowie mogą konstruować własną wizję przeszłości. Obecność nauczycieli w POLIN i stała ich współpraca z Działem Edukacji świadczy, że doceniacie Państwo muzealną ofertę oraz cenicie Muzeum POLIN jako ważne miejsce edukacji waszych uczniów.

Tworząc kolejny numer Biuletynu uznaliśmy, że oprócz spraw bieżących, o których chcemy informować czytelników, będziemy także udostępniać nasze łamy dla tych z nich, którzy zechcą podzielić się swoimi refleksjami z pracy edukacyjnej. Zachęcamy zatem do zapoznania się z tekstem Adama Musiała, który zechciał podzielić się z czytelnikami przemyśleniami na temat współczesnego rozumienia pojęć „naród”, „obywatel” oraz „polskość”. To niezwykle przemyślany, ważny i aktualny głos w dyskusji, dla której kontekst stanowią takie zagadnienia jak „globalizm”, „kryzys uchodźczy” oraz takie zjawiska jak wzrost postaw ksenofobicznych, nacjonalistycznych i wykluczających grupy mniejszościowe. Sądzymy, że refleksja Adama zachęci innych nauczycieli do przemyśleń nad współczesnością i własnym miejscem nauczycieli w procesie kształcenia młodych Polaków.

Zachęcamy także do zapoznania się z osobistym świadectwem Karola Yarona Beckera, polskiego Żyda urodzonego w 1941 r. w głębi ZSRR. Autor dzieli się swoimi przemyśleniami i próbuje odpowiedzieć

na pytanie: w jakim stopniu okres okupacji sowieckiej 1939-1941, a także okres tuż powojenny wpłynął na kształt polskiej i żydowskiej pamięci o II wojnie światowej. Głos Karola, jak sądzimy, wiele objaśnia i pozwala zrozumieć istniejący do dziś konflikt tych dwóch pamięci.

Publikujemy też „List otwarty nauczycieli polskich przeciwko manipulowaniu najnowszą historią Polski”. List ten powstał w reakcji na wypowiedzi polskich polityków, w tym p. minister edukacji, negujących polski udział w mordach ludności żydowskiej w Jedwabnem 10 lipca 1941 r. oraz w Kielcach 4 lipca 1946 r.

Wprowadzamy także nowy dział poświęconym nowościom książkowym. Będziemy informować czytelników Biuletynu o najnowszych publikacjach poświęconych historii i kulturze Żydów polskich. Mamy nadzieję na rozszerzenie tego działu o recenzje książek, publikacji, filmów, spektakli teatralnych i innych form wypowiedzi na interesujący nas wszystkich temat.

## LIST OTWARTY NAUCZYCIELI PRZECIWKO MANIPULOWANIU NAJNOWSZĄ HISTORIĄ POLSKI

Rzetelna wiedza i postawa szacunku dla człowieka są najważniejszymi aspektami nauczania i wychowania. Dużą rolę w ich kształtowaniu odgrywa edukacja historyczna, a szczególnie wiedza o wydarzeniach, które są cezurą w historii świata i rzutują na współczesność. Takim wydarzeniem była zagłada Żydów. Jej bezprecedensowość i tragizm wymagają szczególnego namysłu i rozwagi w formułowaniu wypowiedzi na ten temat.

My nauczyciele, wykonujący zawód zaufania społecznego, jesteśmy głęboko poruszeni i zaniepokojeni publicznymi wystąpieniami wysokiej rangi urzędników państwowych o wojennych i powojennych wydarzeniach z historii Polski.

Pani Anna Zalewska, Minister Edukacji Narodowej, w publicznym wystąpieniu unikała klarownej odpowiedzi na pytania dotyczące sprawstwa zbrodni na polskich Żydach w Jedwabnem i Kielcach, podważając tym samym ustalenia historyków i prokuratorów.

Nasze zdumienie budzą także słowa doktora Jarosława Szarka, obecnego prezesa Instytutu Pamięci Narodowej (ośrodka pragnącego odgrywać ważną rolę w edukacji historycznej), który obarczył odpowiedzialnością za mord jedwabieński wyłącznie Niemców.

Jako nauczyciele od wielu lat w kraju i zagranicą pogłębialiśmy swą wiedzę i doskonaliliśmy umiejętności metodyczne nauczania o Zagładzie po to, by nasi uczniowie stali się odpowiedzialnymi i świadomymi obywatelami Polski, Europy i świata. Nasza praca spotyka się z uznaniem i podziwem wielu instytucji edukacyjnych i ośrodków naukowych na świecie. Tym większe zdziwienie wzbudziło w nas publiczne wystąpienie nauczyciela historii, a jednocześnie kandydata na prezesa IPN, doktora Marka Chrzanowskiego, w którym przyznał się do niewiedzy i bezradności w nauczaniu o zagładzie polskich Żydów.

Tego typu wypowiedzi postrzegamy jako próby manipulowania wiedzą historyczną. Kierując się w naszej pracy nauczycielskiej poczuciem odpowiedzialności w przekazywaniu prawdy historycznej, oświadczamy, że nie mamy wątpliwości co do sprawstwa i udziału polskiej ludności w zbrodniach w Jedwabnem i Kielcach. Z pełną świadomością przyjęliśmy na siebie obowiązek przepracowania z uczniami tej trudnej i bolesnej karty naszych dziejów.

Sprzeciwiamy się wszelkim działaniom, które w rażący sposób zaprzeczają udokumentowanej wiedzy i świadczą o manipulowaniu faktami historycznymi. Apelujemy o merytoryczność i rozwagę w formułowaniu wypowiedzi na ten temat, a także o niezaprzeczanie dorobku badaczy i nauczycieli w tej dziedzinie.

Adam Musiał, nauczyciel języka angielskiego i wiedzy o kulturze z Krakowa

Małgorzata Rusiłowicz, nauczycielka języka polskiego z Białegostoku

Barbara Subko, nauczycielka języka polskiego z Warszawy

Bożenna Sucharska, nauczycielka języka polskiego i wiedzy o kulturze z Gdańska

Robert Szuchta, nauczyciel historii z Warszawy

Agnieszka Wozowicz, nauczycielka historii sztuki z Krakowa

---

*Tekst listu powstał pod koniec lipca 2016 r. w reakcji na publiczne wystąpienia wysokich urzędników państwowych, w tym Pani minister edukacji narodowej, poddających w wątpliwość udział Polaków w mordach na Żydach w Jedwabnem 10 lipca 1941 r. i w Kielcach 4 lipca 1946 r. List opublikowano na stronie internetowej Petycjeonline ([https://www.petycjeonline.com/list\\_otwarty\\_nauczycieli](https://www.petycjeonline.com/list_otwarty_nauczycieli)) a podpisało go ponad 1700 osób z kraju i zagranicy. Inicjatorzy listu wielokrotnie występowali w mediach (Gazeta Wyborcza, Tygodnik Powszechny, POLSAT NEWS 2, Radio Tok FM i inne) informując opinię publiczną o intencjach i przesłaniu listu. Do dziś List nie spotkał się z reakcją władz w tym Pani minister edukacji Anny Zalewskiej. Na wypowiedź p. minister zareagował także dyr. Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN prof. Dariusz Stola, który w odrębnym liście wyraził swą dezaprobatę dla publicznej wypowiedzi p. minister, jednocześnie zapraszając ją do złożenia wizyty w Muzeum i odbycia w nim lekcji historii. Jak dotąd p. minister tej lekcji nie odrobiła.*

## Quo vadis, natio?

### Nauczycielskie rozważania o polskości.

ADAM MUSIAŁ<sup>1</sup>

Obchodom świąt narodowych i ważnych rocznic wydarzeń historycznych coraz częściej towarzyszy „patriotyczne” larum faszyzujących ruchów narodowych. Nie sposób nie dostrzec ich ogromnej mobilizacji i nie usłyszeć potoku buńczucznych frazesów o patriotyzmie.

„Prawdziwi Polacy” i „prawdziwi patrioci” nadchodzą. Niech żyje nam niepodległa Rzeczpospolita.

#### I. Patriotyzm otwarty – otwarta polskość

Patriotyzm i polskość „prawdziwi patrioci” pojmują dość swoiście, wyrzucając z nich wszelkich „obcych”. Granice obcości zakreślają przy tym bardzo szeroko, przypisując ją wielu z tych, którzy sami siebie zaliczają do „swoich”, „naszych”. W oczach „patriotów” ci ostatni znajdują się już jednak poza nawiasem „polskości”, a przynajmniej „polskości prawdziwej”. Jak to wszystko rozumieć? Co jest patriotyzmem, a co zwykłym nacjonalizmem i szowinizmem?

Encyklopedyczna definicja patriotyzmu wydaje się na pozór dość prosta: patriotyzm to umiłowanie własnej patriae, czyli ojczyzny, i żywiony dla niej szacunek; patriotyzm opiera się na więzi z własnym narodem, czyli na tożsamości narodowej. Definicja ta rodzi jednak pytania o elementy składowe wyrażenia definiującego. Czym bowiem jest owo umiłowanie i w jaki sposób się ono przejawia? Czym jest sama ojczyzna i czym jest naród? Kim są ci, którzy tę ojczyznę miłują? Czy wszystkie wymienione elementy są niezienne w czasie i jak wyglądają one w nowoczesnym kraju XXI wieku? Jako nauczyciel i wychowawca muszę też zadać jeszcze jedno pytanie: jeśli pojęcie patriotyzmu nie jest tak oczywiste, jak się wydaje, to do jakiego patriotyzmu powinienem wychowywać swoich podopiecznych?

Oddajmy głos specjalistom. Stanisław Ossowski, jeden z pionierów socjologicznej refleksji nad narodem, definiuje go jako ojczyznę ideologiczną. Opiera się ona jego zdaniem na więzi ideologicznej – na przekonaniu jednostki o jej uczestnictwie w pewnej zbiorowości – tj. narodzie właśnie. Ową więź

---

<sup>1</sup> Nauczyciel j. angielskiego oraz wiedzy o kulturze w III Społecznym Liceum Ogólnokształcącym w Krakowie, Ambasador Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN

– i owo przekonanie – tworzy zestaw idei stanowiących oś krystalizacji grupy narodowej, takich jak wyobrażenie obszaru ojczyzny, dziedzictwo kulturowe grupy, wspólnota losów dziejowych czy też państwo.

Inny socjolog narodu – Amerykanin Benedict Anderson – definiuje naród jako wspólnotę wyobrażoną, budowaną z rozmaitych obrazów tworzących pewną narrację, podzielaną przez różnych członków grupy określającej się jako narodowa. Narodowa wspólnota wyobrażona jest społecznością skończoną (ma ograniczony zakres – zajmuje skończony obszar) i suwerenną. Obejmuje ponadto wszystkie klasy społeczne, które pomimo istniejących między nimi nierówności złączone są poziomym układem solidarności.

Idee tworzące więź ideologiczną Ossowskiego czy też obrazy konstruuujące wspólnotę wyobrażoną Andersona są konieczne, gdyż członkowie grupy narodowej nie znają się wszyscy wzajemnie i nie spotykają na co dzień. W przeciwieństwie bowiem do społeczności rodowych i plemiennych charakterystycznych dla wczesnych okresów rozwoju społecznego ludzkości i opierających swą tożsamość na węziej lub szerzej pojmowanych więzach krwi, stanowią oni zbiorowość bardzo liczną i wewnątrznie złożoną. Potrzebują zatem idei czy też obrazów do stworzenia wyobrażenia samych siebie jako grupy ponadlokalnej i wyobrażenia swej ojczyzny, do stworzenia ideowej i obrazowej narracji opowiadającej o tym, czym jest ich wspólnota.

Z pojęcia narodu jako ojczyzny ideologicznej, czy też jako wspólnoty wyobrażonej, wynikają dwie logiczne konsekwencje. Otóż po pierwsze, nie istnieje stały zewnętrzny i niezmienny zbiór idei/wyobrażeń tworzących ojczyznę ideologiczną/wspólnotę wyobrażoną; dla różnych narodów – i w różnym czasie – owe idee/wyobrażenia mogą być odmienne. Dla przykładu: komponent tak „oczywisty” i „naturalny” jak język nie zdaje egzaminu w przypadku Szwajcarii i Belgii (zamieszkujące je grupy używają kilku języków narodowych; nie ma języka szwajcarskiego czy belgijskiego) czy też krajów postkolonialnych (Brazylijczycy nie mówią po brazylijsku, a Australijczycy po australijsku). Idealnymi kryteriami definiującymi naród nie są też religia czy posiadanie państwa, bo istnieje przecież wiele narodów, których członkowie wyznają różne religie lub różne odłamy tej samej religii, i istnieją też narody nie posiadające państwa, jak Kurdowie obecnie, czy Polacy w czasie zaborów.

Po drugie zaś, omawiany zbiór idei/wyobrażeń może się różnić dla różnych członków grupy narodowej bądź też dla różnych podgrup tejże grupy. Nie wszyscy członkowie narodu będą utożsamiać się dokładnie z tymi samymi ideami/wyobrażeniami (elementami kultury, dziejów, państwa, itd.) i różne jednostki lub podgrupy będą różnym ideom/wyobrażeniom przypisywać różną wagę. Ojczyzna ideologiczna w ujęciu Ossowskiego oraz wspólnota wyobrażona Andersona są bowiem



koncepcjami pojemnymi, dopuszczającymi różne, w znacznym stopniu odmienne elementy konstytuujące tożsamość narodową i obraz ojczyzny – różne tradycje jednostek, rodzin i regionów. Zatem żadna jednostka ani podgrupa nie powinna mieć monopolu na definiowanie tożsamości narodowej, narodu, czy patriotyzmu.

Powrócę do postawionych wcześniej pytań. Jak zatem w świetle powyższych rozważań należy postrzegać polskość, polską tożsamość narodową i polski patriotyzm? I jakiego patriotyzmu powinienem nauczać jako wychowawca młodzieży?

Jesienią 2014 roku przeprowadziłem lekcję wśród swoich wychowanków – wówczas uczennic i uczniów klasy drugiej liceum – w czasie której postanowiłem sprawdzić, jak rozumieją patriotyzm moi siedemnastoletni podopieczni i czym się on dla nich przejawia. Udzielone przez nich odpowiedzi dają się podzielić na dwie grupy. Większość klasy – co mnie bardzo ucieszyło – zwróciła przede wszystkim uwagę na obywatelski wymiar patriotyzmu. Szacunek i umiłowanie ojczyzny w XXI wieku to dla nich przede wszystkim zaangażowanie w państwo i troska o nie, przejawiające się płaceniem podatków („bo przecież składamy się dla siebie”), uczciwą pracą, zainteresowaniem sprawami bieżącymi kraju i popieraniem inicjatyw obywatelskich (jedną z mych uczennic oburzyło niskie zainteresowanie miejskim budżetem obywatelskim). „Dulce et decorum est pro patria laborare” – można by rzec, parafrazując Horacego.

Patriotyzm to dla mych wychowanków również konstruktywna krytyka (państwa, procesów społecznych, wydarzeń, postaw) wynikająca z troski o ojczyznę. Patriotyzm wreszcie to także dbałość o wykształcenie i dostrzeganie jego wartości – wykształcenie w obszarze obywatelskim i społecznym (by wiedzieć jak działa kraj), humanistycznym (by znać kulturę i historię kraju) oraz specjalistycznym (by móc pracować na rzecz kraju jako przedsiębiorca, prawniczka, urzędnik, lekarka itd.).

Rozmowa z moimi podopiecznymi okazała się bardzo budująca. Bez wątplenia moja koleżanka, nauczająca ich historii i wiedzy o społeczeństwie na wcześniejszym etapie gimnazjum (uczę w zespole szkół), wykonała świetną robotę. I mimo wrażenia, że kilkoro z nich jednak zbyt snadnie i ochoczo nastawia uszu na głośne slogany narodowców, większość wydawała się przekonana, że patriotyzm to przede wszystkim pozytywistyczna praca na rzecz kraju zamieszkania, potwierdzana codzienną, powtarzalną rzetelnością i uczciwym funkcjonowaniem w ramach struktur złożonego nowoczesnego społeczeństwa i państwa, i skłaniała się ku postawie otwartości – ku polskości dopuszczającej wielość odmiennych wzorców i tradycji, ku polskości włączającej, inkluzywnej, polifonicznej.

Taki patriotyzm obywatelski pozwala na pojemną identyfikację z polskością – zakreśla on jej granice na tyle szeroko, że włącza w jej obszar wszystkich tych, którzy swą obywatelską postawą chcą w owej polskości uczestniczyć. Jest w niej zatem miejsce także dla imigrantów sumiennie pracujących dla dobra swej nowej ojczyzny. Ich emocjonalna, symboliczna i kulturowa identyfikacja z krajem pochodzenia nie musi wykluczać możliwości identyfikacji z nową ojczyzną, którą najłatwiej im potwierdzać postawą świadomego obywatelstwa.

Druga grupa przejawów patriotyzmu wymienionych przez moją klasę opiera się o symbole i pamięć. Patriotyzm w tym rozumieniu to według mych podopiecznych z jednej strony szacunek dla godła, flagi i hymnu państwowego, a z drugiej pamięć o ludziach i wydarzeniach z przeszłości kraju, w tym także – co warto podkreślić – o sprawach trudnych i nie zawsze chwalebnych. Patriotyzm to dla nich również przyswojenie i znajomość kultury – tak własnego narodu, jak i kultury w ogóle – oraz uczestnictwo w niej.

Także i ten wymiar patriotyzmu i tożsamości narodowej może mieć różny stopień otwartości. Dla większości mych wychowanków, podobnie jak dla mnie, jest on bardzo pojemny. Patriotyzm oparty na znajomości historii i kultury własnej ojczyzny będzie już zatem patriotyzmem dzieci imigrantów wspomnianych powyżej – dla nich będzie on pogłębieniem patriotyzmu obywatelskiego. Całkiem możliwe, że ich tożsamość narodowa będzie tożsamością podwójną; oba człony ich podwójnej identyfikacji mogą ze sobą współistnieć i żaden nie musi wykluczać drugiego. Podobnie może się zdarzyć w przypadku osób należących do mniejszości narodowych żyjących pośród narodowej większości. Dochodzi u nich do internalizacji kultury i historii społeczeństw, w których żyją (choćby w wyniku powszechnej edukacji) i bez wątpienia również do częściowej choćby identyfikacji z tą kulturą i historią. Nie wyklucza to jednak w ich przypadku możliwości utożsamiania się z historią i kulturą narodu żyjącego w większości w innym państwie.

Jak rozumieć ten ostatni przypadek? Gdy piłkarz reprezentacji Polski Waldemar Sobota razem z kolegami z drużyny narodowej śpiewał przed meczem Polska-Szkocja (14.10.2014) hymn Polski, to mogą podejrzewać, że czynił to, bo czuje się Polakiem. Z drugiej strony w rodzinnym domu na Śląsku Opolskim kibicował mu ojciec, który w ich rodzinnej wiosce jest szefem koła mniejszości niemieckiej. Czy zatem Waldemar Sobota na pewno jest Polakiem? A może jest Niemcem? Tym bardziej, że oprócz polskiego ma także obywatelstwo niemieckie? A co z jego ojcem? Przecież męscy przodkowie obu panów też walczyli w wojsku niemieckim, jak dziadek Donalda Tuska. Odpowiedź na to pytanie pozostawiam samym zainteresowanym, bo to wyłącznie ich sprawa. Mnie wystarczy moje własne

przekonanie, że mogą oni być jednocześnie i Polakami, i Niemcami (a przy okazji Ślązakami o silnej tożsamości regionalnej), i nie mniej narzucać im ich tożsamość ani wymagać od nich opowiedzenia się za jedną tylko identyfikacją, jakakolwiek by ona nie była.

Otwarty patriotyzm nie stawia kategoriycznych wymagań także wobec innych wyznaczników tożsamości, jak choćby wobec religii. W Niemczech, Francji czy Wielkiej Brytanii nikomu nawet nie przyjdzie to do głowy. Owszem, w czasach sprzed epoki nacjonalizmu – czyli z grubsza przed XIX wiekiem, kiedy to świat Zachodu począł myśleć w kategoriach narodu – religia bywała jednym z podstawowych kryteriów tożsamości grupowej. W Polsce katolicyzm równoznaczny był wówczas z przynależnością do etnosu polskiego i odróżniał jego wyznawców od Rusinów, którzy byli prawosławni. Jednak nawet i w tym przypadku linie podziału nie były w pełni dystynktywne, gdyż począwszy od XVI wieku jęli się pojawiać Polacy różnych wyznań protestanckich. Począwszy od XIX wieku owe granice uległy jeszcze większemu zatarciu. Wobec potęgi idei narodu rola religii straciła bowiem na znaczeniu, które w świecie nowoczesności osłabiło jeszcze zeświecczenie znacznej części społeczeństwa, rozdział religii od państwa oraz przypadki świadomych konwersji na inne religie. W otwartym patriotyzmie polskim nie ma zatem miejsca na zbitkę pojęciową Polak-katolik, tyleż archaiczną, co nieskuteczną w opisie rzeczywistości. Gdyby bowiem nadal miała ona obowiązywać, to należałoby z grona Polaków wykluczyć tysiące osób niewierzących, a także dumnych polskich luteran, takich jak choćby Adam Małyśz, Jerzy Buzek, czy Halina Młynek. Podobnie należałoby uczynić ze znanym polskim malarzem (zmarłym niedawno) Jerzym Nowosielskim, wyznawcą prawosławia, którego ojciec był Łemkiem. Otwarty patriotyzm jest zatem patriotyzmem wierzących, niewierzących i wierzących inaczej.

Naród jako ojczyzna ideologiczna i wspólnota wyobrażona – pozwolę sobie powtórzyć – jest zawsze swego rodzaju narracyjną kreacją, tworzoną z idei i obrazów zaczerpniętych z własnych losów i kultury, oraz dokonującą pewnej interpretacji własnych dziejów i tradycji. Owa kreacja jest lub powinna być swoistym konsensusem, wspólnym wszystkim członkom narodu. Jednak w ramach złożonej, bo ponadlokalnej wspólnoty narodowej siłą rzeczy muszą istnieć podgrupy o odmiennych tradycjach – czasem nawet w stopniu znacznym – co wynika ze zróżnicowanej historii i kultury poszczególnych regionów czy też grup społecznych. Inkluzywny model narodu i patriotyzmu musi pozwolić zabrznieć owym odmiennym nurtom tradycji, by opowiadające się za nimi grupy mogły odczuć szacunek dla własnego wątku narodowej opowieści i dzięki temu utożsamić się z narodem jako całością. Gdy bowiem któraś z grup w ramach wspólnoty narodowej poczuje, że jej opowieść tłumiona jest przez inną grupę, to obniży się w ich oczach wiarygodność całości narodowej narracji (narodowej wyobraźni/narodowej ideologii).

Pozwolę sobie skonkretyzować powyższe rozważania na jednym przykładzie. Nacjonalistycznie zorientowana część polskiego społeczeństwa od dłuższego czasu forsuje jedynie słuszną ich zdaniem narrację narodowych losów czasu drugiej wojny światowej, za prawdziwie polskie i patriotyczne uznając wyłącznie tradycje Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych i Armii Andersa, a marginalizując, czy wręcz dyskredytując tradycje bojowników Gwardii Ludowej, Batalionów Chłopskich i Ludowego Wojska Polskiego. Tym zaś z Polaków, których przodkom przyszło walczyć w szeregach Armii Czerwonej czy Wehrmachtu, a także cierpieć prześladowanie i mordy w gettach i obozach Zagłady, zdają się zupełnie odmawiać prawa głosu do opowiadania własnych historii. Ich kreacjonizm narodowej narracji jest więc posunięty do tego stopnia, że nadinterpretują fakty historyczne lub je przeinaczają. Owe fakty zaś – a właściwie same dane ludnościowe obszarów pod okupacją niemiecką i sowiecką – wskazują dobitnie, że co najmniej kilka milionów dzisiejszych mieszkańców Śląska, Wielkopolski i Pomorza miało dziadka w Wehrmachcie (i Donald Tusk żadną miarą nie jest tu wyjątkiem), a potomkom tysięcy innych przyszło walczyć w ramach wojsk sowieckich. Czy zatem ma to świadczyć nieprzychylnie o polskości wnuków i prawnuków tych żołnierzy i podawać ją w wątpliwość? I czy narodowa narracja wojennych losów musi piętnować opowieści o dziadkach z Wehrmachtu i Armii Czerwonej współczesnych Polaków? Otwarty, inkluzywny patriotyzm nie wyklucza tych wątków z narodowej narracji i wplata je w obraz narodowej wspólnoty. Nie musi gloryfikować niemieckich czy sowieckich żołnierzy wśród przodków dzisiejszych Polaków, ale może neutralnie opowiadać o trudnych i złożonych losach dwudziestowiecznej historii Polski.

Otwarty patriotyzm nie ogranicza też narodowej narracji historycznej do opowieści dotyczących wyłącznie obywateli większościowej grupy, czyli w przypadku Polski obywateli wywodzących się z pierwotnego etnosu polskiego, lecz dopuszcza i szanuje – jako równoważne, równie uprawnione i nie mniej patriotyczne – opowieści obywateli pochodzących z innych grup. Polski dyskurs historyczny powinien zatem obejmować także dyskursy dotyczące grup mniejszościowych, współtworzących Polskę przez stulecia i będących jej współgospodarzami, tj. dyskurs niemiecki, żydowski, ukraiński, białoruski, litewski, ormiański, tatarski i inne. Jeśli bowiem będzie on wyglądał inaczej – np. traktował Zagładę Żydów jako rzecz wyłącznie żydowską, czyli nie „naszą” i „obcą”, choć dotyczyła ona trzech milionów żydowskich Polaków – to będzie to dyskurs nacjonalistyczny, wykluczający, zamknięty. Grzech ten pokutuje w zbiorowym myśleniu od dawna i wciąż nie jest poddawany wystarczającej refleksji. Nawet bowiem w komunistycznej Polsce, w teorii opartej na utopii emancypacyjnej i niwelującej różnice pochodzenia klasowego, etnicznego i religijnego, dominującym nurtem historiograficznym – zwłaszcza po roku 1968 – był nurt endecki, a zatem mocno wykluczający. Ten

stan rzeczy, powielany i wdrukowywany w procesie powszechnej edukacji i masowym przekazie medialnym, trwa i trwa w najlepsze także po przełomie roku 1989 – choć może jako zbiorowość nie w pełni to sobie uświadamiamy – i dopiero od niedawna da się zauważyć wysiłki zmierzające do jego zmiany na bardziej inkluzywny.

### **Patriotyzm wykluczający**

Opowiedzenie się za patriotyzmem otwartym równoznaczne jest dla mnie z odrzuceniem patriotyzmu wykluczającego i polskości pojmowanej ciasno, bo opartej na wybiórczo zestawionej tradycji, polskości niezdolnej do jakiegokolwiek samokrytyki i odpornej na nią – tak na tę dotyczącą polskiej teraźniejszości, jak i tę odnoszącą się do przeszłości; polskości głoszącej potrzebę odrzucenia tak zwanej „pedagogiki wstydu”, maskującej niezdolność do zajęcia się tym, co nazwałbym zwyczajnie „pedagogiką prawdy” – nauczaniem zarówno o chwalebnych, jak i haniebnych wydarzeniach z narodowych dziejów. Postawa tego rodzaju ukrywa wstydlive epizody narodowych losów, a wszelkie próby zmierzenia się z nimi i uczynienia narodowego rachunku sumienia postrzega jako niepatriotyczne i antypolskie akty sprzeniewierzenia się prawdziwej historii narodu. Marginalizuje też ona obywatelski wymiar patriotyzmu, który zdaje się uznawać za niewystarczający.

Patriotyzm wykluczający wprowadza pojęcie „prawdziwej polskości” i wyrzuca poza jej granice wszystkich tych, którzy nie podzielają „patriotycznego” wątku narodowej narracji; ci bowiem według „prawdziwych Polaków” są jedynie uzurpatorami, nieprawdziwie polskimi lub wręcz nie-polskimi, czyli obcymi. Patriotyzm wykluczający, a więc i będąca jego podstawą wykluczająca tożsamość narodowa, mają wymiar etniczno-narodowy. Zawężają one zakres idei i wyobrażeń tworzących obraz ojczyzny do kręgu tak wąskiego, że zdają się one opierać na tożsamości wręcz plemiennej. Są zatem w swych założeniach regresywne, wsteczne. Wbrew zatem nazwie jednej z organizacji uznającej się za „prawdziwie polską”, patriotyzm tego rodzaju nie jest żadną miarą wszechpolski, lecz wstecz-polski, gdyż opowiada się za modelem wspólnoty opartej na bliskich, regionalnych więziach, wręcz na pokrewieństwie krwi, i cechującej się znacznie prostszą od współczesnej strukturą społeczną. Cofa się zatem do dość wczesnego etapu rozwoju społecznego. Jest więc de facto nacjonalizmem etnicznym. Patriotyzm wykluczający zdaje się przejawiać na kilka charakterystycznych sposobów. Po pierwsze „prawdziwi patrioci” wykluczają ze wspólnoty narodowej osoby o przodkach nie pochodzących z polskiego etnosu (vide: wcześniejsza uwaga o „plemiennym” charakterze patriotyzmu wykluczającego). Najbardziej „podejrzani” w ich oczach wydają się być Żydzi, Niemcy, Rosjanie i Ukraińcy.

„Prawdziwi patrioci” uznają również, że prawdziwym Polakiem może być tylko katolik, choć biorąc pod uwagę napastliwość ich słów i czynów, dalekich od ideału miłości Chrystusowej, ich własny katolicyzm pozostawia wiele do życzenia i zdaje się być co najwyżej nominalny. Prawdziwymi Polakami nie mogą zatem być wyznawcy innych wyznań chrześcijańskich. Prawosławni i grekokatolicy wydają się moim subiektywnym zdaniem mieć na to mniejszą szansę niż protestanci, zaś wyznawcy innych religii – a zwłaszcza judaizmu i islamu – powinni porzucić swe płonne nadzieje na udział w polskości.

„Prawdziwi patrioci” polscy przywłaszczają sobie postaci ikoniczne dla sporej części społeczeństwa (jak choćby rotmistrza Witolda Pileckiego czy papieża Jana Pawła II), uznając samych siebie za prawdziwych depozytariuszy ich dziedzictwa, a innych za niegodnych tego zaszczytu, bo niewłaściwie interpretujących ich naukę.

Co ciekawe, „prawdziwy patriotyzm” łączy też tożsamość narodową z zagadnieniem płci kulturowej, bowiem odwołuje się do tyleż konserwatywnego, co archaicznego, kultu męskości w wersji „macho”. „Prawdziwymi patriotami” są zatem według nich samych tylko osoby heteroseksualne, więc siłą rzeczy nie są nimi osoby homo- i transseksualne. „Prawdziwi patrioci” są nad wyraz opiekuńczy wobec „prawdziwych polskich patriotek”, które czują się w obowiązku bronić przed obcymi – takimi jak choćby „hordy obcych kulturowo i niebezpiecznych uchodźców”, mogących zagrozić istocie „prawdziwej polskości”. Mężczy „prawdziwi patrioci” nie uświadamiają sobie najczęściej faktu (lub przynajmniej go nie werbalizują), że awers „opiekuńczego, męskiego patrioty” ma swój rewers w postaci władczej relacji podrzędności wobec kobiet, nierzadko traktowanych przedmiotowo.

„Prawdziwi patrioci” wreszcie głoszą prymat tożsamości narodowej nad wszelkimi innymi wymiarami ludzkiej tożsamości i to we wszelkich możliwych sytuacjach. Według „prawdziwych” patriotów polskich człowiek jest najpierw i przede wszystkim Polką lub Polakiem, a dopiero potem córką lub synem, siostrą lub bratem, żoną lub mężem, matką lub ojcem, artystką, przedsiębiorcą, lekarką, urzędnikiem itd. Taka polskość zdaje się nie dawać jednostce chwili wytchnienia, gdyż rości sobie prawo do zwierzchności nad całym jej jestestwem i non-stop domaga się lojalności (z tego choćby powodu „prawdziwi patrioci” deprecjonują literacką wartość „Trans-Atlantyku” Witolda Gombrowicza).

## Niedorzeczności patriotyzmu wykluczającego

Co ciekawe, w poglądach „prawdziwych patriotów” da się wykazać pewną zdumiewającą niedorzeczność. Gdyby bowiem zastosować wykluczający charakter powyższych kryteriów prawdziwego patrioty polskiego, to okazałoby się, że nasza narodowa ojczyzna ideologiczna zubożeje o ogromny zestaw zbiorowych wyobrażeń i ikon tworzących powszechnie akceptowany obraz polskości. Przyjrzyjmy się tej kwestii oczyma „prawdziwych patriotów”. Jeśli na przykład mielibyśmy zastosować kryterium religijne, to musielibyśmy z polskości wykluczyć wspomnianych już Jerzego Nowosielskiego (bo prawosławny i Łemko po ojcu), protestantów Adama Małysza, Jerzego Buzka, Halinę Młynek (córkę aktywnego działacza mniejszości polskiej z Zaolzia), a także jednego z polskich bohaterów wojennych generała Władysława Andersa (nawet Piłsudski – z jego konwersją na luteranizm – wydaje się w tej kwestii problematyczny).

Jeszcze ciekawiej wygląda polska wspólnota wyobrażona po rewizji opartej na kryterium etnicznym. Okazuje się bowiem, że z „prawdziwej polskości” należałoby wyłączyć postać, której wkładu w zbiorowy kanon polskich wyobrażeń nie sposób przecenić. Jan Matejko, jako że o nim tu mowa, miał bowiem czeskiego ojca (František Xaver Matějka przyjechał do Krakowa z Roudnic koło Hradca Králové) i matkę wywodzącą się z polsko-niemieckich protestantów (Joanna Karolina Rossberg). Pierwszy rektor krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, autor wielkich dzieł przedstawiających wydarzenia i postaci z historii Polski, wielbiony przez jemu współczesnych za patriotyczną działalność artystyczną, wywodził się zatem z etnosu niepolskiego. Czyż jego polskość okazuje się zatem „nieprawdziwa”? Idąc zaś dalej ścieżką czeską, należałoby chyba również podać w wątpliwość polskość jednego z najważniejszych poetów polskich początku XX wieku Leopolda Staffa (syna Františka, prezesa „Ogniska czeskiego” we Lwowie), a także wielkiego polskiego aktora Gustawa Holoubka, syna Czecha osiadłego w Krakowie po pierwszej wojnie światowej.

Przyjrzyjmy się też „udającym Polaków” Niemcom. Omawiałem już wcześniej przypadek piłkarza Waldemara Soboty z kadry narodowej Polski. „Nieprawdziwa” bez wątpienia musi też być dla „patriotów” polskość innego sportowca, Józefa Szmida, urodzonego jako Josef Schmidt Ślązaka z niemiecko zorientowanej rodziny, który polskiego nauczył się dopiero po wojnie. Co prawda zdobył on dla Polski dwa złote medale olimpijskie w trójskoku (w Rzymie w 1960 roku i w Tokio w 1964 roku) i bił rekordy świata, ale „nieprawdziwość” jego „patriotyzmu” nie powinna przecież ujść niczyjej uwadze. Podobnie krytycznie należałoby spojrzeć na niepolskie pochodzenie profesora Aleksandra

Brücknera, wywodzącego się ze spolonizowanej rodziny niemieckich Austriaków, autora wielu dzieł na temat literatury i kultury polskiej, a także słownika etymologicznego języka polskiego.

Na dobrą sprawę należałoby pod kątem antyniemieckim (i innym także) zrewidować również polskość prapolskiego Krakowa. Gdyby „prawdziwi Polacy” przyjrzeni się dokładnie dziejom miasta, to dostrzegliby, że przez kilka stuleci rozwój tej perły i symbolu polskości dokonywał się rękami etnicznych nie-Polaków. W 1257 roku rządzący na Wawelu książę Bolesław Wstydlivy postanowił przemienić leżącą na podgrodziu osadę, jaką wówczas był Kraków, w prawdziwie nowoczesne miasto (oczywiście w średniowiecznym rozumieniu tego słowa) i lokował nowy Kraków na prawie magdeburskim. Ten nowy sposób organizacji miasta – samorządu miejskiego i handlu – gwarantował większy rozwój i dochody. Do przeprowadzenia tego przedsięwzięcia sprowadził książę zasadźców i osadników niemieckich, gdyż Polacy dopiero uczyli się tworzenia nowoczesnych miast i życia w nich. Zatem nowy Kraków powstały wokół Rynku Głównego tworzyli przede wszystkim Niemcy, a także Czesi, Włosi i Żydzi. Etniczni Polacy odegrali w tym dziele marginalną rolę. Przez kilka stuleci dominującym językiem mieszczan krakowskich był niemiecki i to w tym języku aż do 1537 roku głoszone kazania w głównym kościele parafialnym miasta, czyli w Kościele Mariackim. Niemcem był też rajca i ławnik miejski Mikołaj Wierzynek (a właściwie Nikolai Wirsing), który wydał wielką ucztę dla gości słynnego zjazdu monarchów, zorganizowanego przez Kazimierza Wielkiego we wrześniu 1364 roku. Z kolei pierwszą pocztę w królewskim Krakowie założyła w 1558 roku włoska rodzina Montelupich.

Druga fala „obcych” i „niepolskich” krakowian napłynęła do miasta wraz z zaborem austriackim. Należałoby więc rewizyjnie podejść do zasłużonego prezydenta Krakowa Józefa Dietla, syna austriackiego urzędnika, profesora i lekarza, który swoje zaangażowanie w przywrócenie języka polskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim przypłacił usunięciem z uczelni przez samego cesarza. Nie inaczej trzeba by potraktować jego następcę, prezydenta Mikołaja Zyblikiewicza, który winien wzbudzać podejrzliwość swym „niepolskim” grekokatolicyzmem, odziedziczonym po rusińskim ojcu. Największe możliwości działań na polu rewizji narodowo-patriotycznej dostarczają „patriotom” polscy Żydzi. Ich wkład w tworzenie wyobrażeń i idei narodowej wspólnoty jest zwyczajnie nie do przecenienia i nie do powetowania byłyby też straty naszej wspólnoty wyobrażonej, gdybyśmy polską narrację o tym, czym jest nasza ojczyzna, odarli z wątków wniesionych doń przez żydowskich Polaków w myśl chorobliwie pojmowanej „prawdziwości”, która nieustannie wygania wspomnianą grupę z uzurpowanej przez nich „polskości” na powrót w „żydowskość”. Czyż można bowiem wyobrazić sobie polską poezję międzywojenną bez tak fundamentalnych twórców jak Bolesław Leśmian, Julian Tuwim



czy Antoni Słonimski? A polską prozę bez Brunona Schulza? Czy międzywojenny kabaret istniałby bez Qui Pro Quo, który literacko stanowili wspomniany Tuwim i Marian Hemar? I znów Tuwim: czyż nie wszystkie polskie dzieci, włącznie z tymi, które z czasem stały się „prawdziwymi patriotami”, czytały jego „Lokomotywę” i „Słonia Trąbalskiego”, a także „Kaczkę dziwaczkę”, „Tańcowała igła z nitką” czy „Akademię Pana Kleksa” Jana Brzechwy? A gdybyśmy mieli wyrzucić z polskiej kultury muzycznej międzywojenne szlagiery napisane przez żydowskich Polaków, to okazałoby się, że nasi dziadkowie prawie nie mieliby czego słuchać, bo odebralibyśmy im ze trzy czwarte piosenek, jakie znali i jakie znane są do dziś: „To ostatnia niedziela”, „Umówiłem się z nią na dziewiątą”, „Miłość ci wszystko wybaczy”, „Tylko we Lwowie”, „Już taki jestem zimny drań”, „Już nie zapomnisz mnie”, „Ach jak przyjemnie”, „Ach śpij, kochanie”, i wiele, wiele innych. Trzeba by też zapomnieć o osiągnięciach żydowsko-polskich wydawców, takich jak warszawianie Samuel i Maurycy Orgelbrandowie (Encyklopedia Powszechna i Słownik języka polskiego), Jakub Mortkowicz (wydawca między innymi dzieł Staffa i Żeromskiego), czy krakowianin Napoleon Telz (wydawca dzieł Wyspiańskiego), wykreślić dokonania żydowsko-polskich filmowców, takich jak Aleksander Ford (ekranizacja „Krzyżaków”), Janusz Morgensztern („Polskie drogi”, „Stawka większa niż życie”), Jerzy Hoffman (ekranizacja „Trylogii” Sienkiewicza), i wyrzec się sukcesów dziesiątek wybitnych polskich naukowców uznanych na całym świecie, takich jak choćby zmarły przed kilku laty profesor Bronisław Geremek. I przyszłoby nam też w końcu zapomnieć o wkładzie w polską chwałę żydowsko-polskich sportowców, takich jak choćby Józef Klotz (zdobywca pierwszej bramki dla reprezentacji Polski), Irena Kirszenstein-Szewińska (złota medalistka olimpijska i mistrzostw świata w biegach krótkodystansowych) i wielu, wielu innych. Krótko mówiąc, bez wkładu żydowskich Polaków nasza ojczyzniana wspólnota wyobrażona ogromnie by zubożała.

Na zakończenie warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden istotny aspekt patriotyzmu i tożsamości narodowej. Otóż w kreowaniu zbiorowej narracji narodowej – obrazów, idei i wyobrażeń składających się na Andersonowską wspólnotę wyobrażoną czy ojczyznę ideologiczną Ossowskiego – kluczową rolę odgrywa elita danego narodu. To ona też tworzy jej zbiorowy przekaz dla szerokich mas społeczeństwa, powielany w powtarzalnych rytuałach zbiorowych, mass mediach, sztuce czy powszechnej edukacji, i to na niej spoczywa odpowiedzialność za treść narodowej narracji i jakość jej przekazu. Siłą rzeczy integralną część narodowej elity stanowi kadra nauczycielska – przede wszystkim ze względu na jej wpływ na sposób myślenia młodego pokolenia. Etyczny aspekt jej pracy wymaga, by ucząc młodych ludzi szacunku dla drugiego człowieka – takiego, jakim jest, z całym bogactwem jego tożsamości – wzbudzić w nich również poszanowanie dla wszelkich podzbiorów narodowego zbioru i świadomość, że owe podzbiory są jakościowo równoważne (vide: wcześniejsze uwagi na ten temat). Waga misji nauczycielskiej w wychowaniu do patriotyzmu polega na przekazywaniu młodzieży

wartości postawy obywatelskiej oraz podejścia inkluzywnego, włączającego w „naszość” grupy niesprawiedliwie wykluczane przez zakorzeniony wciąż w części społeczeństwa etniczny nacjonalizm, który przybiera maskę „prawdziwego patriotyzmu” i jest nad wyraz niebezpieczny. Rolą polskich nauczycielek i nauczycieli jest zatem wskazać swym podopiecznym, że polskość ma rozmaite odcienie i że różnić się w jej ramach to piękna rzecz.

#### BIBLIOGRAFIA

Anderson Benedict, *Wspólnoty wyobrażone: rozważania o źródłach i rozprzestrzenianiu się nacjonalizmu*, Kraków 1997.

Kłóskowska Antonina, *Kultury narodowe u korzeni*, Warszawa 1996.

Ossowski Stanisław, *O ojczyźnie i narodzie*, Warszawa 1984.

## Mieliśmy trochę szczęścia w tym ogromnym nieszczęściu

Yaron Karol Becker<sup>2</sup>

Rzeczy bowiem nazywają się dobrymi albo złymi, o ile porównuje się je między sobą. Podobnie (z tejże racji) mniejsze zło jest w rzeczywistości dobrem. A zatem, za przewodem rozsądku będziemy pragnąć, czyli obierzemy, tylko większe dobro i mniejsze zło. Za przewodem rozsądku obierzemy mniejsze zło ze względu na większe dobro i wyrzekniemy się mniejszego dobra, będącego przyczyną większego zła.

Na samym wstępie chcę zaznaczyć, że artykuł ten ma charakter biograficzno- wspomnieniowy, bardzo osobisty, nawet nieco nostalgiczny, albowiem dotyczy między innymi mego dalekiego dzieciństwa. Staram się tutaj wyrazić uczucia i sformułować myśli, które od dawna noszę w sercu i w głowie, i które niezwykle mnie frapują. Dlatego zaznaczam z góry, że rzecz ta bliższa jest w swej formie subiektywnemu esejowi, niż artykułowi naukowego przyprawionemu dużą ilością skrupulatnych przypisów i dążącemu do wyważonego obiektywizmu. A jednak, chociaż opieram się przede wszystkim na „Pamięci versus Historii” (w postaci archiwalnych dokumentów), pewną dozę obiektywizmu czytelnik tu znajdzie, ponieważ jest to nie tylko moja indywidualna opowieść, lecz także historia kilkunastu moich rówieśników, którzy podobnie jak ja przeżyli wojnę w ZSRR. I pewny jestem, że jeszcze wiele takich historii można spisać.

Do zajęcia się tym tematem skłoniły mnie trzy powody. Pierwszym i najważniejszym jest pluralizm wrażliwości. Uważam, że dzisiaj, w epoce różnorodności wzbierających partykularnych, martyrologicznych narracji, żarliwego podkreślania wyłącznie swego własnego męczeństwa, niezwykle ważna jest wola i umiejętność wsłuchiwania się w cierpienie Drugiego (Innego). Wiele lat pracy wychowawczej z izraelską młodzieżą uświadomiło mi dobitnie, że jeżeli moi uczniowie będą utożsamiali się wyłącznie z żydowską tragedią Zagłady, nie otwierając się na cierpienia i przeżycia innych narodów podczas II wojny światowej, przesłanie Zagłady doprowadzi ich do wulgarного, dzikiego nacjonalizmu, a w efekcie do dehumanizacji: do bezwzględnego usprawiedliwiania wszelkich, w tym skrajnie nieetycznych środków w wojnie izraelsko-palestyńskiej, a także do skamienienia dusz i

<sup>2</sup> Yaron Karol Becker (ur. 7 lutego 1941 roku na Syberii, miasto Aldan w Jakucji) – filozof, historyk, nauczyciel, pedagog, dziennikarz, działacz społeczny na rzecz porozumienia izraelsko-palestyńskiego, orędownik dialogu międzykulturowego, były współpracownik Instytutu Polskiego w Tel Awiwie.

serc w osobistych stosunkach z innymi ludźmi, również z członkami własnego społeczeństwa. Słowem: do utraty ludzkiej wrażliwości w ogóle.

Jednakowoż, stawiając tak wysoką moralną poprzeczkę mojemu narodowi, czuję, że mam prawo zwracać się z podobnymi myślami również do innych. Chciałbym, aby Polki i Polacy zrozumieli, dlaczego tak wielu Żydów z wybuchem II wojny światowej uciekło właśnie do ZSRR i dlaczego tyle młodzieży żydowskiej, po częściowym wycofaniu się na wschód jednostek Armii Czerwonej w 1939 roku przeszło do sowieckiej strefy okupacji. Mówiąc wprost, była to jedyna możliwa droga ucieczki. Dosłownie nikt na „całym bożym świecie” ich nie chciał. Nie wchodząc w detaliczne szczegóły, wielu z nich już na początku niemieckiej okupacji rozumiało, że są z góry skazani na śmierć. Rozumieli to także moi rodzice. I dlatego przyglądając się tej sprawie, tym razem w wymiarze mikro, powiem szczerze i otwarcie: nie osądzam mojego ojca za to, że po uczestnictwie w obronie Warszawy, widząc, jak Polska doznała klęski i, według słynnego powiedzenia Emila Zegadłowicza, „rozpadła się jak domek z kart”, w decydującym momencie przedostał się do ZSRR i stanął po tej stronie w wojnie z Hitlerem. Przeciwnie, cenię ten jego wysiłek, który szczęśliwym trafem nas (matkę i mnie) uratował. Chcę jednocześnie podkreślić, że pluralizm wrażliwości, empatia w stosunku do innych nie oznacza, że nie istnieje jakaś absolutna granica w zrozumieniu i wyrozumieniu (wybaczeniu). Tą granicą jest dla mnie nazizm jako zło absolutne. Dlatego odrzucam wszelkie usprawiedliwianie kolaboracji z Hitlerem, poczynając od weteranów-kolaborantów państw bałtyckich, poprzez Banderowców na Ukrainie, aż po Ustaszy na Chorwacji. Powiem więcej, uważam, że aktualnie jednym z największych zagrożeń w Europie jest skrajny nacjonalizm i – nazywajmy tę chorobę po imieniu – odradzający się faszyzm.

## Stereotypy

Drugim powodem zainteresowania się tym tematem jest kwestia stereotypów. Stereotyp Żyda w Polsce miotał się na przestrzeni historii między kilkoma skrajnościami. Z jednej strony było słynne uliczne hasło: „wasze ulice, nasze kamienice”, a z drugiej strony „Żydokomuna”. Z jednej strony ortodoksyjny „pejsaty chałaciarz” - z drugiej wykwit dekadentckiej kultury zatruwający czystość polskiej, chrześcijańskiej kultury. Z jednej strony wyidealizowany typ świątobliwego Żyda-kapłana na łonie kochającej rodziny celebrującej szabat i sobotnią rybę faszerowaną (gefilte fisz), a z drugiej Żyd-krwiopijca pragnący krwi chrześcijańskich dzieci w celach rytualnych, używający jej do wypieku koszernej macy na Pesach (to zdumiewające, że jeszcze dzisiaj 16% polskiego społeczeństwa ma takie strachy). I wreszcie: z jednej strony agent mściwego komanda Mosadu, a z drugiej żałosna, wieczna ofiara Holocaustu, z którą trzeba się obchodzić szczególnie delikatnie i której koniecznie prawie wszystko trzeba wybaczać.

Ta lista, delikatnie mówiąc, brzmi nieprzyjemnie. Wszelako, trzeba przyznać, a wręcz podkreślić, że od czasu Transformacji wiele zrobiono w Polsce, wiele zdołano dokonać dla stępienia tych wiekowych stereotypów. Pod tym względem trzeba wyrazić chapeau bas polskiej nauce historycznej i polskiej humanistycznej inteligencji twórczej ostatnich 25 lat. Lecz bądźmy realistami, wśród szerokich warstw polskiego społeczeństwa te stereotypy jeszcze pokutują i polski MEN ma tu wciąż duże pole do działania.

Spośród wspomnianych wyżej stereotypów, odnoszę się tutaj szczególnie do stereotypu, nazwijmy go, przesadnie filosemickiego. Rzecz w tym, że osobiście szczególnie mierzi mnie odnoszenie się do mnie – dziecka wojny - jako do ofiary Holocaustu. Notabene, ujmowanie Żyda wyłącznie lub przede wszystkim w pryzmacie Zagłady jest dzisiaj odrzucane nie tylko w pewnej części mojej warstwy wiekowej, lecz także wśród wielu młodych Żydów, a szczególnie wśród współczesnych Izraelczyków.

Także „obnoszenie się Zagładą” wśród samych Żydów, mówiąc kolokwialnie, mdli mnie wprost. Na szczęście, pomimo polityki historycznej izraelskich elit rządzących, szczególnie prawicowych i narodowo religijnych, manipulujących instrumentalnie nauczaniem o Zagładzie, wśród światłej części izraelskiej inteligencji twórczej i izraelskiej młodzieży znajdziemy także jednoznaczny sprzeciw wobec takiej polityki, zdecydowane odrzucenie „pławienia się w historii Zagłady” w celu usprawiedliwienia oficjalnych celów politycznych rządu Izraela.

Temat „dzieci wojny w ZSRR” jest dobrą okazją pokazania, że istnieje alternatywa w stosunku do tego przewrotnego wiktylizmu. Można w sposób bardziej wyważony spojrzeć zarówno na uratowanych z Holocaustu, jak i na ratujących. Zarazem umożliwia to złamanie jeszcze jednego stereotypu. Izraelscy historycy doliczyli się 200000 Żydów walczących w samej Armii Czerwonej, a ogółem pół miliona Żydów walczących w armiach aliantów. Wynika z tego, że można uprawiać nie tylko narrację przeżycia, lecz także można mówić o uczestnictwie Żydów i o ich prawie do walki z nazizmem, z faszystowskimi Niemcami. Wśród tych Żydów-żołnierzy było niemało Żydów polskich, którzy nie okazali się Jojne Karabin, jak obawiali się generałowie Armii Andersa, a raczej sprawnymi żołnierzami walczącymi za „tę swoich matek” („za sliozy naszych matierij”).

### Zaniedbany temat

Trzecim powodem zajęcia się tematem żydowskich dzieci wojny w ZSRR jest fakt, że temat ten był do niedawna zaniedbany. Jest ku temu kilka przyczyn.

Przede wszystkim, niewyobrażalny horror oraz męczeństwo w sposób oczywisty zaćmiły inne aspekty Holocaustu. Zupełnie naturalnie, tragiczna narracja eksterminacji Żydów w obozach śmierci zdominowała wszelkie inne, pomimo iż wśród ocalałych polskich Żydów (którzy znaleźli się w obozach tzw. Dipisów na Zachodzie, szczególnie w Niemczech) większość rekrutowała się właśnie z uratowanych „bieżeńców” (uciekierów) na Wschód do ZSRR. Dyskurs martyrologiczny, pełen bólu i zarazem wstydu, stał się budulcem do tworzenia nowej tożsamości syjonistycznej wiodącej ocalałych do Palestyny w celu założenia tam Żydowskiego Państwa. Prawie natychmiastowy początek Zimnej Wojny po słynnym przemówieniu Churchilla w Fullton w 1946 roku sprawił, że wizerunek ZSRR automatycznie zamienił się z alianta we wroga i jakakolwiek pozytywna narracja o nim na Zachodzie została ograniczona do minimum.

Po krótkim okresie dobrych stosunków pomiędzy ZSRR i nowopowstałym przy jego wsparciu Państwem Izrael, w latach 1947-49 nastąpiła bardzo napięta sytuacja pomiędzy tymi państwami. A to w związku z energicznym wsparciem przez ZSRR arabskiego nacjonalizmu oraz aktywnym politycznym przyłączeniem się Izraela do politycznego obozu Zachodu. Ta sytuacja zaowocowała także ideologicznym sporem między komunizmem a syjonizmem na temat samego Holocaustu. Po krótkim okresie wspierania prawa Żydów do swojego państwa, ZSRR przyjął postawę tuszowania żydowskiego elementu Holocaustu. Na przykład Żydzi zamordowani podczas Zagłady nie byli nazywani Żydami, lecz obywatelami europejskich krajów przywiezionymi do Auschwitz. Podobnie radzieccy Żydzi stali się „radzieckimi obywatelami”. Natomiast z drugiej strony syjonizm podkreślał wyłączność żydowskiej Zagłady, nie odnosząc się do ogromnego, decydującego o losach wojny, wysiłku radzieckich narodów w walce z nazizmem. Ten ideologiczny spór zaowocował brzydką licytacją, kto więcej ucierpiał podczas drugiej wojny światowej.

Po dwudziestym zjeździe KPZR i rewelacyjnym przemówieniu N. Chruszczowa o zbrodniach stalinizmu, uwaga Zachodu i Izraela skupiła się na GUŁAGU, i dyskurs o pozytywnym aspekcie przeżycia polskich Żydów w ZSRR znowu nie był możliwy. Nie było miejsca na wyjaśnianie tego aspektu historycznej prawdy, iż, ironią losu, jak z przekąsem zaznaczają zachodni historycy, właśnie Stalin lub, nazwijmy rzecz po imieniu, sowiecki komunistyczny reżim przyjął (co prawda z nie największym zapałem i w sposób dość cierpki, ale jednak istotny) żydowskich uciekierów z Polski wtedy, gdy cały świat się od nich odwrócił.

## Garść danych historycznych

Ocenia się, że po 17 września 1939 r. 400000 Żydów uciekło z Zachodniej Polski do ZSRR, na tereny okupowane przez Armię Czerwoną. W 1946 r., w ramach repatriacji polskich obywateli, z ZSRR do Polski wróciło 250000 tys. Żydów. Spośród 350000 tys. Żydów polskich, którzy przeżyli drugą wojnę światową (czyli 10% ludności żydowskiej w Polsce przed wojną), 70% przetrwało w Związku Radzieckim. Pośród uciekinierów żydowskich, jak i wśród innych polskich obywateli, na terenach okupowanych dokonano wywózek w głąb Rosji na zesłania do obozów pracy na Syberii w Kazachstanie, i innych dalekich krajów ogromnego obszaru Rosji.

Dzielili się oni głównie na dwie kategorie. Jedna kategoria ogarniała ludzi, którzy nie chcieli przyjąć radzieckiego obywatelstwa z obawy, iż z tego powodu nie będą mogli w przyszłości powrócić do Polski. Do drugiej kategorii należeli ludzie podejrzani w oczach nowej radzieckiej władzy o wrogość klasową, czyli tzw. „burżuje” (właściciele fabryk, obszarnicy, aktywiści ugrupowań politycznych, które władza sowiecka określała jako potencjalne elementy antysowieckie: syjoniści, Bundowcy, ortodoksyjni establishment religijny, rabini etc.) Do trzeciej kategorii należeli uciekinierzy, którzy zdecydowali się na radzieckie obywatelstwo. Tych wysyłano jako wolnych ludzi w głąb Rosji (np. do Stalingradu, Kujbyszewa czy Swierdłowska). Część Żydów wróciła do GG (Generalgouvernement) - strefy okupowanej przez hitlerowców, a część, po zapisaniu się na powrót, została wywieziona na Sybir.

„Burżajska wywózka” odbyła się przeważnie w lutym i kwietniu 1940 r., natomiast „bieżeńcy” (uciekiniery) bez paszportów zostali wywiezieni przeważnie latem 1940 r. Trzeba przy tym podkreślić, że wywózki te nie odbywały się według klucza narodowościowego, lecz klasowego i politycznego. A w stosunku do Żydów nie stosowano żadnej taryfy ulgowej. Według oficjalnych dokumentów NKWD, w 4 wywózkach zesłano do, circa, 330 tysięcy byłych obywateli RP. Piszę specjalnie „polskich obywateli”, a nie, jak niektórzy piszą, „Polacy”, bo prawdą historyczną jest, że wywieziono ludzi wielu narodowości: Polaków, Żydów, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i innych. W ślad za umową Sikorski-Majski, 90% zesłanych zostało wypuszczonych z łagrów lub zesłań. Ocenia się, że pomimo szalejących chorób, epidemii i głodu, 65-80% uciekinierów uratowało się.

## Rechov Allenby 94

Moja osobista perspektywa przetrwania wojny w ZSRR oparta jest na relacjach moich rodziców, szczególnie matki, z którą przeżyłem 5 lat w Rosji podczas wojny. Lecz zanim przejdę do własnej

opowieści, która jest z konieczności najbardziej subiektywna, chcę się podzielić krótkimi wypowiedziami kilku przyjaciół, którzy przeszli podobną drogę życiową.

Ulica Allenby 94 – pod tym właśnie adresem spotykamy się względnie regularnie na przystłowiowy „głębszy służbowy”, który polubiliśmy jeszcze w Polsce. Nazywają nas „Polanim”, czyli Polacy. A miejsce spotkań nie jest nieprzypadkowe. Mowa tu bowiem o knajpie, która onegdaj działała obok byłej polskiej księgarni Neusteinów, będącej przez lata przystanią polskiej kultury w Tel Awiwie. Zadbaliśmy nawet o umieszczenie na ścianie tego budynku tablicy pamiątkowej uwieczniającej, w języku hebrajskim i polskim, pamięć o księgarni i o rodzinie Neusteinów.

W „peerelowskiej gwarze” nazywamy nasze spotkania „egzekutywą”. Między sobą mówimy po polsku, bo większość z nas przyjechała do Izraela prawie przed 60 laty, w 1957 r. Byliśmy już młodzieńcami ukształtowanymi w polskiej kulturze. Lecz „pod śledzika”, niczym w powiedzeniu „pijany Polak śpiewa po rosyjsku”, śpiewamy „po rusku”. Wcale nie z powodu przysłowia, ale po prostu dlatego, że urodziliśmy się w Rosji, spędziliśmy tam wczesne dzieciństwo i polubiliśmy tę kulturę, razem z jej soczystymi fragmentami.

A oto my:

Zeew, czyli Włodek, zwany na co dzień Wowka Kudłaty - „siedemdziesięciolatek plus”. Dani, czyli Zenek Tracz - też już „plus”. Heniek, Herszele, Grisza, czyli w końcu, w Izraelu, Tzvi - jeszcze bardziej „plus”. Nasz senior (85-latek) Jurek Press, były przyjaciel Hłaski, z którym, według mitomańskiej legendy, wypijał wiadra wódki w najgorętsze tel-awiwskie chamsiny. Romek – adwokat, najbardziej spolszczony z nas, który po przybyciu do Warszawy, lata od razu do kościoła Świętej Anny, oczywiście z powodu jakiejś kobiety. Włodek, tłumacz z hebrajskiego na polski, do dzisiejszego dnia piszący swe utwory po polsku. Jurek Auerhan, czyli Joram Orchen, „gospodarz komputerowych ferm” na Politechnice Haifskiej. Olek z Paryża, emerytowany profesor psychologii społecznej. Poldek z Lundu, redaktor gazety „Plotkies”. Grzesiek z Oświęcimia, Julek z Warszawy, Bolek z Warszawy, etc. Wszystkich nie spamiętam. Dołączają do nas niekiedy młode, bardzo inteligentne panie z Polski. One piszą o nas uczone prace magisterskie lub nawet doktorskie, a my jesteśmy dla nich jeszcze żywym „tematem”.

Wesoło i gwarnie jest przy stole w piątek po południu na ulicy Allenby, lecz bywają tam głośne spory na temat polityki, nie tylko izraelskiej, lecz i polskiej, bo Polska nie przestaje nas obchodzić. Na dobre,



czy na złe. W naszym wypadku jest to już choroba na całe życie. A reprezentujemy wszystkie izraelskie kolory polityczne - od trockistów, po miłośników Begin. I prawie wszyscy byliśmy dziećmi wojny, lub byliśmy wychowani w jej cieniu, i przeżyliśmy ją w Rosji.

No i na końcu nie zapomnijmy o „sekretarzu egzekutywy”, czyli autorze tego elaboratu, Yaronie-Karolu, przez polskojęzycznych kumpli zwanym familiarnie „Karolkiem”. Za każdym razem, gdy tylko jestem w Izraelu, przy czynnej pomocy Zenka i Wowki, moich stałych rezydentów na terenie Małej Ojczyzny, zbieram całą tę „ferajnę”. Tak wygląda „moja banda”. A teraz przyjrzyjmy się im z bliska. Zaczniemy od seniora. Jurek Press. Kilka lat temu był w Taszkencie, przy ul. Tołmaczewskij Pierieułok 42. Tam, w latach 1943-1946 przebywał w „Dietdomie” (Domu Dziecka). Matka go tam oddała, bo nie mogła go wyżywić. Pierwsze klasy podstawówki ukończył w rosyjskiej szkole. Z tego względu świetnie mówi po rosyjsku. Cytuje z pamięci Puszkina i Lermontowa. Majakowski też nie jest mu obcy. No cóż, to jego „kindersztuba”. Do Taszkentu dotarł ze Lwowa. Zdołał się ewakuować z matką, pod częstymi bombardowaniami pociągów. Wyjechali z Sokółki do Liachowich. Jurek pamięta trasę ze Lwowa do Kijowa, a szczególnie straszne bombardowanie po drodze, w Tarnopolu. Pamięta dobrze swych wychowawców z „dietdomu” i nauczycielkę rosyjskiego. Szukał ich potem podczas wizyty w Taszkencie. Mimo, że był prawie stałym mieszkańcem w Księgarni Neusteina, głównym pomagierem i entuzjastycznym wprost konsumentem polskiej kultury, mającym znakomite kontakty z jej luminarzami i gwiazdami (np. z Agnieszką Osiecką, a szczególnie ze wspomnianym Hłaską), lubi także rosyjską kulturę i rosyjski język. Suma summarum, odczuwa się w nim wdzięczność do tych ludzi, którzy go uratowali od głodu, i dzięki którym przeżył wojnę. Jurek nie czuł się w niczym wyróżniany - ani na dobre, ani na złe - w swoim „dietdomie”.

Ten szczególny splot kulturowy, w którym nie ma śladu rusofobii, niestety często spotykanej dziś w Polsce, a z drugiej strony wyrażający się ogromnym przywiązaniem do polskiej kultury, którą wciąż przez lata oddychaliśmy w Izraelu, częściowo tłumaczy „casus Mosze”. Wyjaśnię, na czym on polega. Swego czasu, do Instytutu Polskiego w Tel Awiwie przychodził Mosze, człowiek w sędziwym już wieku, który namiętnie czytał polskie książki i zapalczywie śledził za polską prasą. Jego polski akcent był wyraźnie problematyczny. Mówiąc kolokwialnie, „żydłaczył”. Miał problemy z „się”, „zie”, a szczególnie z „szcze”. Lecz jego polski był zupełnie poprawny stylistycznie. Okazuje się, że z początkiem wojny, wraz z matką i bratem, prosto z żydowskiego miasteczka (stąd ten akcent) - gdzie chodził do szabasówki - uciekł gdzieś na Syberię. Jego matka nie była w stanie nakarmić swych dzieci i oddała je do „dietdomu”, przysięgając im, że jak się skończy wojna, na pewno do nich powróci, i jeszcze zaprzysięgając ich, żeby mówili między sobą tylko po ... polsku. Bo, jak im tłumaczyła, „to jest ich paszport”, dzięki któremu będą mogli udowodnić, że przyjechali z Polski i są „Polakami” (bo tak

odnosili się miejscowi mieszkańcy do żydowskich „bieżeńców”). I bracia mówili między sobą po polsku, bo bardzo czekali na matkę, która w końcu wojny rzeczywiście do nich wróciła. Oczywiście, Mosze mówił dobrze po rosyjsku, w Jidysz i po hebrajsku, ale powieści lubił czytać po polsku.

Następnym w kolejce będzie Romek, znany Tel-Awiwski adwokat wspierający polskie instytucje w Izraelu. W książce „Warszawski Beduin”, korzystając z pomocy izraelskiego, polskojęzycznego dziennikarza Eli Barbura, opisał on swój pobyt w Mari SSR. Czytamy tam, że wraz z rodziną, został rzucony najpierw na północ tej republiki, koło Kazania. Następnie umieszczono ich w zapuszczonym baraku, z którego wcześniej wygnano miejscowych. Jego ojciec, Juliusz Kessler, przedwojenny mecenas, doktor prawa, ze swymi galicyjskimi manierami rodem z cesarstwa austro-węgierskiego, stał się drwalem w Marijskich lasach. A potem (to „potem” będzie się powtarzać w relacjach moich druhów, a oznacza ono: „po układzie Sikorski-Majski”) przenieśli się do stolicy autonomicznej Rzeszpubliki Mari, Yoszkara-Oła, gdzie, pomimo głodu, przeżyli. Ojciec zmienił fach, z drwala na poborowego do wojska polskiego, i zaczął walczyć z hitlerowcami od razu na wschodzie, czyli w Armii Berlinga. Romek wspomina z dumą, jak ojciec, w randze kapitana WP, wrócił do niego, matki i siostry, i jako repatriantów zabrał ich ze sobą do Polski. Pamięta gospodynię, która użyczyła im pokoju w własnym domu, szkołę, w której kontynuował naukę (którą był rozpoczął jeszcze w Polsce), i podobnie jak Jurek Press, deklamuje z pamięci wiersze Puszkina i Lermontowa. Pomimo, iż w Izraelu zawsze był twardym rewizjonistą, czyli prawicowcem, zachował sympatię do rosyjskiej kultury (świetnie mówi po rosyjsku) oraz do Armii Czerwonej, u boku, której wojował jego ojciec (który bynajmniej nie był komunistą).

Gdy ruszymy na północ, do kolejnej Autonomicznej Republiki (moja mama powiedziała by w jidysz: „a zochnej”, czyli „z taką autonomią, nie trzeba niepodległości”) o nazwie Komi SSR, znajdziemy się w mieście-stolicy o trudno-brzmiącej nazwie „Syktywkar”. Nieprzypadkowo właśnie tej niełatwej do wymówienia nazwy używa, jako hasła na Skypie Olek, mój kumpel z Paryża, emerytowany profesor psychologii, zaangażowany w dialog żydowsko-polski. Jest on trochę młodszy ode mnie i jego wspomnienia są dosyć skąpe, lecz powtarzają się w nich podobne elementy, co u wymienionych poprzedników. Przede wszystkim głód. Pamięta, że z głodu żuł trawę, a rodzice zajmowali się dosyć „popularnym” wśród „bieżeńców” zajęciem, jakim była praca drwala w lesie. Potem sytuacja się zmieniła, ojciec dostał się do Armii Truda i dostarczał lekarstwa dla wojska, a matka pracowała w przedszkolu - dzięki temu, że jej koleżanka była inspektorem oświaty w całym okręgu. Olek zaznacza, że nie czuli się napiętnowani antysemityzmem. Rodzice Olka byli zdumieni tym, że Żydówka może tu pełnić taką odpowiedzialną funkcję - o czym nie mogło być mowy w drugiej RP. Ojciec Olka, by jakoś dorobić, trochę za bardzo „dawał sobie radę” ze wspomnianymi lekarstwami i skończył w więzieniu w

Archangielsku. Lecz to było widocznie coś drobnego i szybko go wypuścili. Olek, który był wtedy małym Olesiem, pamięta szczególnie „dramatyczne” momenty „dziecięce”, takie jak ten, w którym zagubił się na dworcu między Archangielskiem a Sywtywkarem, i czerwonoarmiści z pepesami uspakajali go, aż do chwili, gdy rodzice go odnaleźli. Albo, gdy przed wejściem na pokład statku płynącego po Dwinie okazało się, że rodzice zapomnieli jego nocnika, i ojciec rzucił się na poszukiwanie tego ważnego sprzętu sanitarnego. Olek do dzisiejszego dnia pamięta, jak ojciec w ostatniej chwili skoczył na pokład z nocnikiem w ręku. Ciekawe, co powiedziały na to Freud.

A teraz ruszmy na południe Rosji, do Astrachania. Właśnie tam znalazł się Heniek, wtedy jeszcze mały Herszele, po ucieczce do Rosji poprzez Mińsk, Symferopol itd. Na marginesie można powiedzieć, że zmiany naszych imion są odzwierciedleniem naszych zmiennych losów. Heniek jest, jedynym wśród nas, prawdziwym Warszawiakiem, jeszcze sprzed wojny. Z czego jest niezwykle dumny. Z zawodu jest geologiem. Do Polski tęskni chronicznie i nieuleczalnie. Jego matka wprost cudem zawędrowała do Astrachania. On też pamięta głód, zwłaszcza, że jego śmiertelną ofiarą stał się młodszy braciszek. Pamięta dworce, na których okradali ich „biezprizornyje” (bezdomne) dzieci. Pamięta bezradność matki, która starała się utrzymać swych synów z hafciarstwa. Pamięta pierwszą klasę w szkole przy ulicy Nowo-Ałmatyńskiej, do której poszedł już w mieście Dżambule (dziś Taraz). Jego wujek, Abraham Karpinowicz znany żydowski pisarz, który miał złoty fach (był technikiem stomatologicznym), znalazł ich jakimś cudem i sprowadził do siebie. Heniek też, podobnie jak Romek, jest dumny ze swego ojca, który wcześniej poszedł do wojska, prawie od samego początku wojował w Armii Czerwonej i wraz z nią, w randze kapitana doszedł aż do samego Berlina. Wyobraźcie sobie warszawskiego Żyda, Dawida Karpinowicza, w dywizji kałmuckiej kawalerii Krasnoj Armii. Na piersi miał dużo medali. Heniek do dzisiaj uwielbia rosyjską kulturę i filmy wojenne z okresu drugiej wojny światowej. I czuje się dobrze, słysząc dookoła siebie rosyjską mowę z ust wielu naszych imigrantów z Rosji. Dostają od niego nagrania rosyjskich piosenek. Ale czytać lubi po hebrajsku, po angielsku, a przede wszystkim po polsku.

Włodek Leder napisał po polsku książkę o swoim dzieciństwie w Rosji. Ten temat jest mu bliski. Mnie opowiedział w skrócie: „Ojciec zginął od razu na początku wojny. Matka została sama z dwojgiem dziećmi. Głodowali. Zbierali ziarna kukurydzy na polu żeby żyć. Dotarli do Astrachania. Sprzedawali na rynku resztki ubrań z Polski. Siostrzyczka umarła z głodu. Matce, krawcowej z zawodu, po pewnym czasie udało się jakoś wyżywić synka. Płacono jej produktami żywnościowymi”. On także, opisując ze smutkiem swe cierpienia, nie mówi tego z goryczą, lecz przedstawia te przejmujące obrazy, jako fragmenty ogólnej tragedii. Los jego niedawno zmarłej żony Nadzi, która urodziła się w ZSRR w 1940 roku, był trochę lżejszy. Jej rodzice zgodzili się na przyjęcie radzieckiego paszportu i wylądowali w

Stalino w Donbasie. Pracowali w kopalni, a po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej wraz z tą kopalnią ewakuowali się w okolice Nowosybirsk, gdzie mieli „jako tako” zapewniony byt.

W Donbasie urodził się też mój przyjaciel z czwartej klasy, ze szkoły TPD przy ulicy Narbutta 14 w Warszawie, Jurek Auerhan, czyli dzisiejszy Yoram Or-Chen. Jego rodzice pochodzący z Rzeszowa też znaleźli się w Donbasie po przyjęciu radzieckich paszportów. Najpierw cierpieli biedę w kotłowni im. Kirowa, potem ojciec Jurka pracował w kopalni. Kiedy wybuchła wojna niemiecko-radziecka, ewakuowali się z kopalnią w okolice Taszkientu. Pod koniec 1944 wrócili do Donbasu. Oto kilka scenek przytoczonych przez Jurka, oczywiście w ślad za opowiadaniem jego mamy, która dożyła późnego wieku (98 lat) w Hajfie, między innymi dzięki „uzależnieniu” od kryminałów w języku polskim, które i ja czasami przywoziłem jej z Polski. Jurek opowiada, jak jego ojciec znalazł bezdomnego osła, którego mięsem żywił przez pewien czas całą przymierającą głodem rodzinę. Jurek pamięta jak ogromny garnek stojący na palącym się prymusie nareszcie był pełen mięsa. Kolejna historia też była związana z głodem. Ojciec Jurka jako górnik otrzymywał racje żywnościowe w kartkach. Pewnego razu jeden z ludzi, którzy go odwiedzili, ukradł te kartki. Ojciec chciał go zabić i tamten po prostu uciekł z tej miejscowości. Historia miała dalszy ciąg po wojnie. Po powrocie do Polski, ojciec Jurka, już w innym nastroju spotkał tego człowieka w Rzeszowie. Tamten przyznał się do winy i tłumaczył, że kierował się zwierzęcym instynktem głodu, którego nie mógł opanować. Ojciec machnął ręką... Według wspomnień matki, Jurek w „dietsadzie” (przedszkolu) zachorował na tyfus. Była to plaga, która bardzo boleśnie atakowała wielu uciekinierów, którzy po wyjściu z sybirskich łagrów ruszyli na południe. Szpital był przepełniony. Matka pamięta, że jakiś Rosjanin zabrał ich do własnego domu i po prostu ich uratował. Takich relacji o dobrym radzieckim „Samarytaninie” znalazłem niemało. Specjalnie piszę „radziecki”, bo to byli Rosjanie, Kazachowie, Tatarzy, Żydzi, słowem: ludzie wielu narodowości. Nie dziwcie się więc, że chociaż Jurek dawno zapomniał język rosyjski (za to świetnie włada językiem angielskim), lubi zanuć ze mną coś rosyjskiego.

Jeszcze jeden z mych bliskich przyjaciół, Wowka Cynamon (wraz z bratem, nieżyjącym już Kajtkiem) uratował się w Rosji, na Uralu, konkretnie w Tatarstanie. Swego czasu dzwoniliśmy wraz z Wowką do Wierchniego Ufa Liej, miasta gdzie on się urodził jako Władimir, i załatwiliśmy sprawę jego rosyjskiej metryki. Potrzebował zebrać dokumenty w celu uzyskania polskiego obywatelstwa. Wowka mówi uczciwie, że nic nie pamięta z Ufa Liej, lecz to właśnie on jest moim najbliższym kompanem od rosyjskiej piosenki na Allenby 94, więc jednak coś zostało...

Najbardziej udokumentowane świadectwo i najgłębsze przemyślenie naszego tematu znalazłem wśród moich rozmówców u Zenka-Daniego. Dlatego cytuję go szczególnie obficie. Poznaliśmy się

wiele lat temu w izraelskim wojsku. Przeszliśmy wiele wspólnych dróg i dużo się spieraliśmy. Kilka lat nie rozmawialiśmy ze sobą z powodów politycznych. A jednak w tej kwestii mamy podobne zdanie. On jest najmłodszy z nas, wprost „osesek”, z 1943 r., i jakkolwiek sam nic nie pamięta z tamtego okresu, jako wydawca znanego izraelskiego wydawnictwa „Mapa”, „nie zasypiał gruszek w popiele”, jak to mówią, i wraz ze starszym bratem Wiktorem opublikował wspomnienia rodziców. Znajdziemy tam bardzo szczegółowy opis tych tragicznych, a jednak w końcu heroicznych lat. Z opowieści tej możemy zrozumieć, w jaki sposób ta rodzina się uratowała.

Kiedy Armia Czerwona wkroczyła do Malinówki, małego miasteczka we wschodniej Polsce, ojciec Zenka odniósł się do tego wydarzenia pozytywnie i nawet stał się „předsiedateliem gorsowietą”. Zrezygnował jednak z tej funkcji, gdy zorientował się, że władze sowieckie odnoszą się zaborczo do miejscowej ludności i że jego gest jest wykorzystywany propagandowo. Przenieśli się więc do kołchozu. Po wybuchu wojny 22 czerwca 1941, „drogami nie drogami” dotarli do Astrachania. W trakcie tego były przeprawy przez Bug i Dniepr. W końcu znaleźli się w kołchozie rybackim, gdzie im się bardzo trudno wiodło i gdzie starszy braciszek Zenka ciężko chorował. Dostali się w końcu do Północnego Kazachstanu, do miejscowości Turgajstroj. Tam otrzymali nieocenioną pomoc od miejscowej Kazaszki, która pomogła w opiece nad Witkiem oraz od siostry matki Witka, która już wcześniej znalazła sobie ciepłe miejsce w Turgajstroje. Matka Zenka była księgową w kopalni. A ojciec został faktycznie zmobilizowany do Armii Truda, a ponieważ od urodzenia był „majstrem klepką”, pracował przy różnych pracach budowlanych. Potem poszedł do WP Berlinga i skończył swój szlak bojowy w Berlinie. Z narracji matki, która została sama z dwojgiem dzieci (w tzw. międzyczasie Zenek przyszedł na świat) wynika, że z ogromnym trudem zmagala się z problemem wyżywienia. Po wojnie ojciec Zenka, już pod zmienionym nazwiskiem, służył dalej w WP, aż do emigracji do Izraela.

A oto słowa samego Zenka, które nagraliśmy, i które w dużym stopniu tłumaczą atmosferę, w jakiej on wyrastał i unaocniają, jak historia jego rodziny wpłynęła na jego odczucie i zrozumienie Zagłady: „Przede wszystkim zacznę od tego, że ja wojny w ogóle nie pamiętam..., nawet nie pamiętam, jak wracaliśmy z Syberii do Polski. Ale pamiętam jak się wychowywałem. Ojciec był w wojsku. Na początku walczył w Armii Radzieckiej, potem go przenieśli do Armii Berlinga, czyli tej Kościuszkowskiej. Jako zawodowy oficer, został w wojsku do 54 r. Tak, że ja wychowywałem się w tym duchu... To było dla mnie oczywiste. To był kult, kult zwycięstwa nad Hitlerem. A to było przede wszystkim zasługą Armii Czerwonej. Słuchałem w domu wojenne piosenki sowieckie. Na tym się wychowywałem. Rodzice oczywiście byli komunistami. To też była część tego wszystkiego. Ponieważ zacząłem coś wyraźnie pamiętać dopiero od pierwszej klasy, a chodziłem do szkoły prominentów, tak to się mówiło, powiem, że tam też podobne uczucia mieli wszyscy. Również Polacy, którzy podobnie

przeszli wojnę, którzy byli socjalistami albo komunistami. Ja nie czułem tego... Nie czułem tego antysowieckiego czy antyrosyjskiego uczucia panującego wśród większości Polaków. I to przez wiele lat.

Stosunkowo późno zacząłem się odnosić do tematu Zagłady. Przez pewien okres czasu oni ukrywali przede mną, że są Żydami... przede mną, bo Polacy przecież, wszyscy wiedzieli... Nie można było ukryć. Ale ja o tym nie wiedziałem. Wychowywałem się jako Polak, bo oni w to wierzyli. Oni wierzyli w to, że wszyscy obywatele Polski - która jest krajem kosmopolitycznym, a nie narodowym - wszyscy tak samo walczą o świetlaną przyszłość. Stosunkowo późno, myślę, że po raz pierwszy w wieku 12 czy 13 lat rodzice wzięli mnie na uroczystość upamiętniającą powstanie Getta Warszawskiego. Pamiętam, że był tam chór Wojska Polskiego i były wszystkie ceremonie. Potem zacząłem czytać książki, które mi przyniesiono, czy je znalazłem sam. Tak, że stosunkowo późno to do mnie przyszło. Oczywiście strasznie mną wstrząsnęło, kiedy dowiedziałem się, że cała rodzina matki zginęła podczas Zagłady. To bardzo wpłynęło na mnie i do tej pory przechodzą mnie ciarki, kiedy o tym myślę. Ale powtarzam ... ja nie czułem się ofiarą, ponieważ czułem się członkiem tej części, która zwyciężyła. Ojciec zdusił tę hydrę. Teraz, kiedy pracowałem nad książką o moich rodzicach, znalazłem wiele listów, które ojciec pisał do matki z frontu, i tam znajduję, jaki on był dumny ze swojej racji, że miażdży tę faszystowską hydrę w jej własnym gnieździe. Wiesz, takie wielkie słowa ... no wiesz, tego typu wielkie słowa, o których prawdziwości on był przekonany. I ja też mam tutaj podobne uczucia. Nic się nie zmieniło, chociaż wiesz, że moje poglądy polityczne bardzo się zmieniły. Stałem się bardzo antystalinowski. Zrozumiałem, że Polska była zniewolona, że to był ustrój, jak to kiedyś powiedziałem, w którym służyliśmy diabłu, ustój zbrodniczy. Ale ogólne poczucie zwycięstwa, nie ofiary, i poczucie jakiejś wdzięczności, nazwijmy to dosłownie, nie tylko Czerwonej Armii, pozostało... Ja po dwudziestym zjeździe już rozumiałem te zbrodnie. A ojciec, który był odważnym człowiekiem - no, bo żeby być komunistą, trzeba było przecież też być odważnym - po kilku tygodniach zwrócił legitymację partyjną i wrócił do syjonizmu. A ja już wtedy byłem wychowankiem Kuronia, Walterowcem. Byliśmy wtedy za Węgrami. Tak, że ja pod tym względem byłem absolutnie antysowiecki, ale to w niczym nie zmieniło moich poglądów na sprawy wojenne”.

### **„Tylko o sobie opowiadać umiałam”**

Jest taki wiersz bardzo znanej izraelskiej poetki Rachel (wystarczy powiedzieć tylko jej imię i wszyscy wiedzą, o którą Rachelę chodzi), który się zaczyna od tych właśnie słów: „tylko o sobie opowiadać umiałam”. I ja zacznę swoją nieco rozwlekłą, opowieść od tych słów, zakładając, że pomimo

nieuniknionego, subiektywnego podejścia, przywołując swe syberyjskie perypetie, dodam jednak coś ważnego do ogólnego tematu „Dzieci wojny”.

Kiedy wybuchła wojna, 1 września 1939 roku moja matka Dewojra-Rejzel Cukier mieszkała w Łodzi, żyła „na kocią łapę” ze swoim ukochanym, Abramem Kaufmanem, moim przyszłym ojcem. Oboje pochodzili z małych żydowskich miasteczek: mama z Opatowa, a ojciec z Buska Zdroju. Oboje byli zapalonymi młodymi komunistami. Działali w łódzkiej „jaczejce” Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej (KZMP). W organizacji mieli polskie pseudonimy, które z czasem zamieniły się w ich stałe imiona: ona Dorka, on Tolek. Tak wyglądała ich polska asymilacja. Byli przekonani, że w wypadku zwycięstwa Hitlera ich los będzie przesądzony: będą skazani na śmierć, albo jako Żydzi, albo jako komuniści. W każdym razie, przyjęli wyzwanie losu i stawili się do obrony Warszawy, aż do jej kapitulacji. Mama do końca życia pamiętała przerażający wizg bomb padających na Warszawę i odgłosy syren alarmowych. Dlatego, wiele lat później, tak bardzo się bała podobnych odgłosów wojny, które przyszło jej jeszcze raz usłyszeć w Izraelu. Do końca życia bohaterem pozostał dla niej heroiczny prezydent Stefan Starzyński, którego głos słyszała przez radio podczas oblężenia Warszawy.

Po kapitulacji Warszawy i wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny polskie, Dorka i Tolek ruszyli na wschód. Szli pieszo kilka dni i nocy w kierunku Białegostoku. Według świadectwa mamy, Tolek zasypiał po drodze i ona musiała go trzymać za rękę, żeby nie upadł. Co robić? Jeszcze jeden dowód na to, że kobiety są silniejsze. Przejście na stronę sowiecką nie było proste. Mama opowiadała, że chociaż musiała przejść rewizję osobistą nago, schowała w dłoni i w ten sposób zachowała maleńki negatyw ich wspólnego zdjęcia w kostiumach kąpielowych na basenie. Mam je do tej pory: Dorka i Tolek, młodzi i wysportowani już na wieczność. Następną stacją był Lwów. Tu Tolek miał towarzyszy partyjnych i niepartyjnych. I wtedy stało się nieszczęście.

I Dorka i Tolek nie wierzyli w pakt Ribentropp-Mołotow. Zakładali, że rychło w czas wybuchnie nazistowsko-sowiecka wojna i oni wrócą do Polski. Dlatego obawiali się przyjąć radzieckie paszporty, aby im to nie przeszkodziło w powrocie. No i pewnego pięknego, letniego wieczoru, to było chyba w czasie letniej wywózki 1940r., w której większość wywiezionych była żydowskimi uciekinierami, zapukano do drzwi mieszkania. Enkawudzista zażądał od mamy i ojca „dokumenty”, a skoro nie mogli ich pokazać, bo ich nie mieli, wydał krótki rozkaz. Mama relacjonowała mi po latach, że mówił nawet spokojnie i uprzejmie: „gruzowiki żdut w nizu. Grażdanie sobirajties z wieszchmi niemiedlienno.” („Ciężarówka czeka na dole. Obywatele, zbierajcie się z rzeczami natychmiast”.) No i mama z ojcem, prawie tak, jak stali, zeszli z kilkoma niezbędnymi rzeczami w dół, do ciężarówek, które zawiozły ich i

innych „bieżeńców” bez paszportu na dworzec. Tolek, który miał dobre kontakty z polską komunistyczną elitą we Lwowie, na pobliskiej stacji wyśliznął się z pociągu, żeby wyjaśnić sprawę aresztu i próbować wyciągnąć mamę z eszelonu. Lecz ona już ruszyła w niezwykle długą drogę. Mierzyłem ją kiedyś na mapie, kiedy odrabiałem z córką domowe lekcje z geografii. Mierzyliśmy nitką, a potem linijką, odległość od Lwowa aż po Jakuck – 11000 km. Tu muszę zaznaczyć, że z punktu widzenia odległości jestem rekordzistą wśród mojej paczki, i bycie tak dalekim Syberiakiem stało się dla mnie z czasem powodem do dumy. Szczególnie imponowało to mojemu zmarłemu już przyjacielowi Jurkowi Kamienieckiemu, którego wojna rzuciła w 1942 r. ze Lwowa w przeciwnym kierunku, na zachód do Auschwitz, Mathauzen i dalej. Mama miała szczęście, że oderwana od Tolka znalazła się w transporcie, gdzie były także jej towarzyszkami z łódzkiej komórki. Okazało się później, że z takimi towarzyszkami nie trzeba nawet rodziny, tak bardzo jej one pomagały. A mama niezwykle potrzebowała wsparcia, gdyż rodzice po przybyciu do Lwowa doszli do wniosku, że ZSRR jako międzynarodowa ojczyzna proletariatu jest odpowiednim miejscem dla przyjścia na świat nowego człowieka. Nie wiem, jak długo mama męczyła się, zanim dojechała w bydłych wagonach do Jakuckiej SSR i została zesłana do rejonu rzeki Ałdan, by tam, w okolicy bogatej w złoża złota i diamentów, budować nowe miasto. W każdym razie, ja byłem bezpłatnym, luksusowym pasażerem w brzuchu mamy. To zastanawiające, że ona - młoda kobieta w ciąży, w obcym kraju, słabo władająca językiem rosyjskim, wyjeżdżająca w nieznaną, w ekstremalnie obce warunki klimatyczne i społeczne - mimo wszystko, z tej bardzo trudnej podróży zapamiętała także i piękne momenty: cudny widok Bajkału, północną zorzę, bezbrzeża tajgi... Kiedyś słuchałem jej wspomnień jak atrakcyjnych opowieści podróżniczych. Teraz myślę o tym z innego punktu widzenia. Może zabrzmiałoby naiwnie, ale wydaje mi się to pięknym, że człowiek nawet w najtrudniejszych momentach swego życia potrafi zachwycić się przyrodą, światem...

Docelowym miejscem zsyłki był Jakuckstroj, punkt na mapie południowej Jakucji, który w przyszłości miał stać się miastem. Przybyli na miejsce jeszcze podczas krótkiego, upalnego lata, które tu bywa, dostali porcję dzienną: 400 gram chleba i zupę, łopaty i siekiery w dłonie, i „Vpieriod i s piesniej! (Naprzód i z pieśnią!), budujcie nowe miasto”. Żadnych drutów kolczastych tu nie było. Były niepotrzebne. Bo kto chciał uciec z miejsca, gdzie nie było żadnych kolei, ani szos, miał wielkie szanse stać się pokarmem dla białych niedźwiedzi. Mama budowała to miasto z umiarkowanym entuzjazmem, ale zaofiarowała mu pierwszego urodzonego w nim obywatela, z czego komendant obozu był bardzo dumny. Jeszcze dumniejsze były jej towarzyszkami, które pomogły jej urodzić tego nowego obywatela przy dwóch rozgrzanych piecach. Na dworze temperatura sięgała -40 stopni Celsjusza, bo było to już w lutym 1941 r. Szczęśliwy ojciec, zawiadomiony telegraficznie o tym radosnym wydarzeniu w dalekim Lwowie, przysłał swą zgodę na uznanie pierwszego



nowonarodzonego mieszkańca Jakuckstroju, Karła(Karola) Abramowicza Kaufmana, za syna, i pod tym nazwiskiem przyszedłem na świat żeby energicznie ssać pierś matki. Podobno krzepkie syberyjskie powietrze bez bakterii dobrze na mnie działało. No i pomimo warunków obozowych: stała fizyczna praca i „nie wymyślne” jedzenie, troska komendanta obozu, który dbał o dobry pajok (porcję żywności) dla mojej karmiącej mamy odegrała swoją rolę. Tolek z daleka starał się uruchomić swe kontakty, żeby uwolnić nas od tego „zdrowego” trybu życia. Dotarł do samej Wandy Wasilewskiej, a ta, według świadectwa mamy, starała się u samego Kalinina, Wszechrosyjskiego Starosty, czyli prezydenta ZSRR. Niestety, właśnie wtedy wydarzyło się kolejne nieszczęście: wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Ojciec poszedł na ochotnika do Armii Czerwonej i wycofywał się z nią aż do Charkowa. Potem przeszedł do Armii Andersa, z którą następnie wyruszył na Bliski Wschód, do Palestyny. W końcu jednak, wraz z kilkoma towarzyszami, opuścił tę armię, z powodu, eufemistycznie mówiąc, antysemickiej postawy jej dowódców. Faktem jest, że oficerowie Armii Andersa patrzyli przez palce na dezercje żydowskich żołnierzy, widząc w nich nielojalny komunistyczny element.

Tymczasem ja z mamą, wyzwoleni z budowy nowego miasta, czyli oswobodzeni z GUŁAGU, po pakcie Sikorski-Majski przenieśliśmy się do pobliskiego miasteczka Ałdan nad rzeką Ałdan. Wybuch wojny i świadomość kompletnego oderwania od ojca będącego w ogniu wojny, a następnie na dalekim Bliskim Wschodzie, wpłynęły bardzo negatywnie na mamę. Przestała mnie karmić i wtedy zacząłem zaliczać wszystkie możliwe dziecięce choroby. Z drugiej strony jednak, po rocznej zsyłce, byliśmy znowu wolnymi ludźmi. Mama bardzo roztropnie zdecydowała, aby nie ruszać z większością uchodźców na południe ZSRR, do republik średnio-azjatyckich. Grasowały tam epidemie tyfusu, dezynterii i wszelkie inne „dżumy i cholery”. Ona widocznie wierzyła w zdrowe powietrze Syberii. No, ale oczywiście na samo zdrowe powietrze nie można było liczyć. Ałdan, oddalony o kilkadziesiąt kilometrów od Jakuckstroja, był, i do dzisiaj jest nazywany „Złotym Miasteczkiem”, ponieważ znajdują się tu złoża tego błyszczącego kruszcu. Podobno, tak mówiła mama, były tu także kopalnie diamentów. Było tu nawet polowe lotnisko, bo Ałdan był ważnym punktem komunikacyjnym w drodze do USA. Jednym słowem, było to miejsce zbliżone do cywilizacji i białe niedźwiedzie już nie odgrywały tu istotnej roli strażników.

A co najważniejsze, była tu „placówka”. Mama często powtarzała to słowo, którego nie rozumiałem do końca. Zresztą, nie odnosiłem się do jej wspomnień z punktu widzenia badania historycznego. Zakładałem, że jest w nich dużo niedokładności wywołanych czynnikiem czasu i chęcią wygładzenia obrazu, oczyszczenia go z posmaku martyrologicznego. Dla mamy okres syberyjski czy szerzej period sowiecki był raczej okresem heroicznego przetrwania. Ale w końcu miałem okazję przekonać się, że można z ludzkiej pamięci wydedukować także historię udokumentowaną. Postanowiłem

zinterpretować słowo „placówka” jako przedstawicielstwo ambasady polskiej w Ałdanie, chociaż wydawało mi się rzeczą fantastyczną, żeby taka placówka istniała w miasteczku liczącym, według spisu ludności z 1939 r., 14000 mieszkańców. Okazało się jednak, że mama miała rację. W Ałdanie była wtedy placówka delegatury ambasady RP podlegająca polskiej ambasadzie w Kujbyszewie. Znalazłem w Internecie całą teczkę z IPN, w której przechowują się dokumenty świadczące o tym fakcie. Są tam sprawozdania urzędnika polskiej delegatury A. Pająka z grudnia 1941 do kwietnia 1942 r. Dowiadujemy się z nich, że w rejonie Ałdańskim było 680 polskich obywateli, 90% wśród nich stanowili Żydzi, 80% z nich było zatrudnionych jako „Liesorubow”, czyli drwale, było im bardzo trudno i nie chcieli płacić podatków a A. Pająk uważał, że powinni to robić. Dowiadujemy się, że w Ałdanie był dom polskich inwalidów, że przebywało w nim 140 osób, że wszystkim uchodźcom dawano nowe polskie paszporty. Delegatura udzielała pomocy polskim obywatelom. Część z nich pracowała w miejscowych kopalniach jako księgowi, rachmistrze i innego rodzaju pracownicy umysłowi. Dla ludzi z Polski rozgospodarowano dodatkową pomoc, 30000 rubli (podczas gdy przeciętny zarobek wynosił 250 rubli). A kobiety, których mężowie służyli w wojsku, otrzymywali od miejscowych władz lżejsze prace.

W ten sposób wracamy do tematu, z którego zбочyliśmy, czyli, w jaki sposób Dorka Cukier z półrocznym Karolkiem na ramieniu dała sobie radę w syberyjskim miasteczku, które można określić jako koniec świata (Ekwelt), a które jednakowoż okazało się punktem ratunkowym. Pierwsze swe kroki skierowała w stronę „gorsowietu”, czyli rady miejskiej. Na podstawie opowiadań mamę staram się wyobrazić sobie, jak to wyglądało w rzeczywistości. A jako rusycysta z wykształcenia, nie mogę się powstrzymać od odtworzenia słów, które tam widocznie padły po rosyjsku. „Priedsiedatiel” pyta: „Aha... da, graždanka Dora Izrailiewna Cukier. Otiec riebianka w armii”. (No tak, obywatelka Dora córka Izraela Cukier. Ojciec dziecka w wojsku). „Jest’ dokumenty? Da. (Są dokumenty? Tak.) A później sam siebie pyta: „gdzie my Was ustroim? (Gdzie my Was zakwaterujemy? Jak was urządzimy?) Zagląda do papierów zapisu kwaterunkowego mieszkańców i mówi: „vot u Burakowych eszczio jest’ miesto. Dwoje starikov i mładszaja docz’ Ania. Pajdiom! (Oto u Burakowych jest jeszcze miejsce. Dwóch starców i młodsza córka Ania. Idziemy.) I tak się stało. Zwaliliśmy się na głowę rodzinie Burakowych, która miała dwa pokoje. Oni musieli zmienić radykalnie design wnętrza jednego z nich. Przesunęli szafę, oddzielili firanką kąt pokoju i stworzyli za przepierzeniem dla Dory Izrailiwnoj i jej synoczka przestrzeń mieszkalną – „żył- płaszczadku”. I tak „po prostu” przeżyliśmy u nich jakieś 3 i pół roku. Matka, zgodnie z tym co pisał Pan Pająk, dostała lżejszą pracę w miejskiej „bani”, czyli łaźni. A potem pracowała przy nadzorze dzieci w miejscowym „dietsadzie” (przedszkolu). Było trudno i bardzo głodno, ale jednak było ciepło i to nie tylko pod względem wysokości słupka rtęci na termometrze. W pierwszym okresie mama nie mogła dużo pracować, bo ja kontynuowałem swoją niekończącą się

serię dziecięcych chorób. Często spała w szpitalu na podłodze, by zadbać o mnie, bo w tych głodowych warunkach śmiertelność niemowląt w szpitalach była bardzo wysoka. Z powodu awitaminozy i niedożywienia, szybko zdiagnozowano u mnie krzywicę. O tranie można było pomarzyć. Ale było mleko z reniferów, rzepa, marchewka, leśna żurawina i „smorodina” (czarna porzeczką), za którymi mama chodziła latem 15 kilometrów do pobliskiego kotchozu.

Stary Burakow, który mnie wtedy niańczył, był chyba też zesłańcem politycznym jeszcze sprzed wojny. Nazywał mnie Karłuszą. Dostyc późno zacząłem mówić i rozumieć po rosyjsku. Mama była już przestraszona, że zamiast kolejnego żydowskiego geniusza, wychowuje niedorozwinięte dziecko. A ja po prostu nie wiedziałem, w jakim języku mam usta otworzyć. Mama mówiła ze mną tylko po polsku. W krasnoarmiejskim dietsadie, do którego (jako syn krasnoarmiejca) chodziłem, mówili do mnie po rosyjsku (tam właśnie, jako dzieci czerwonoarmistów, dostawaliśmy dodatkową porcję mleka). W końcu, w wieku ponad trzech lat, zacząłem mówić płynnie od razu w dwóch językach. Od tej chwili ust nie zamykam. Ale żarty na bok. Kwestia języka miała dla mamy pryncypialne znaczenie. Dewojra Rejzel, dziewczyna z żydowskiego miasteczka, która stała się towarzyszką Dorką, razem z komunistyczną wiarą (a pochodziła z bardzo chasydzkiego domu), przyjęła, jako wiano polską kulturę i wierzyła, że jej Karol będzie pełnoprawnym obywatelem w nowej Polsce. Wierzyła w to święcie, i dlatego uparcie rozmawiała ze mną tylko po polsku, chociaż wiele dzieci z Polski mówiło tylko po rosyjsku, albo po żydowsku. Lecz, jak mówią Rosjanie, „słowa z piosni nie wykiniesz” (słowa z piosenki nie wyrzucisz), kiedy mnie usypiała, albo, gdy było jej smutno, śpiewała mi w jej matczynym Jidysz. Śpiewała bardzo ładnie, takim cieniutkim, wysokim głosem. Jestem jej za to bardzo wdzięczny, bo w ten sposób otworzyła mi furtkę do jeszcze jednej, ważnej w moim życiu, kulturowej tożsamości. To dzięki niej z jednej strony byłem prawowitym synem ojczyzny-polszczyzny, jak pięknie określił Julian Tuwim, a zarazem nie miałem kompleksów i chęci tuszowania mego żydowskiego pochodzenia. Jak mogłem to odczuwać, skoro ona była tak czuła i wdzięczna, śpiewając mi po żydowsku? Byłem z niej bardzo dumny. Mama zresztą pięknie śpiewała we wszystkich językach, które znała. Pamiętam - to już pamiętam sam, bo miałem wtedy 5 lat - jak przed powrotem do Polski uczyła się słów piosenki „Tiomnaja noc” Marka Bernesa, żeby ją zaśpiewać ojcu, kiedy się spotkają...

Moje wspomnienia z tego „złotego miasteczka” są oczywiście wspomnieniami matki, za co jestem jej bezmiernie wdzięczny. Lecz zaczynam już zszywać jakieś strzępy własnej pamięci z okresu, kiedy byłem czterolatkiem. Pamiętam, że stary Burakow szybko dał mi do zrozumienia, że „kto nie robotajet, tot nie jest” (kto nie pracuje ten nie je). I znalazł dla 4-letniego brzdąca ważną społeczną pracę. Kiedy odwiedzali nas goście, przyjmowałem ich od razu na ganku i specjalną miotłą

otrząsałem śnieg z ich walionków (filcowe, ciepłe wysokie buty z cholewami). Robiłem to bardzo sumiennie i pracowicie, jak przystoi na radzieckiego „grażdanina”, a oni często droczyli się ze mną i pytali: „Karłusza, Ty russkij?” A ja z dumą odpowiadałem: „Niet, ja Paliak”.

I razem z tym, nie czuliśmy się wyróżnieni. Może jedynie pod tym względem, że uważano nas za Polaków, co jednakowoż nie miało żadnych dyskryminacyjnych konsekwencji z punktu widzenia narodowościowego. Podam taki komiczny przykład. Miałem już 3 latka i mama chciała mi zrobić fotografię, żeby ją wysłać do Tolka i pokazać mu, jakiego udanego synka zdołała w tych ciężkich warunkach wyhołubić. A było to dokładnie w okresie, gdy wszystkie dzieci w moim „dietsadzie” z przyczyn higienicznych strzyżono do zera. Dora nie chciała, aby obcięto złotawe loki jej Karolka-Karłuszy, a wychowawczynie domu dziecka zrozumiała to i zgodziła się uratować te loki, mówiąc „ani bieżency, ani nieżnienkije” (oni są uchodźcami, oni są bardzo wrażliwymi). I on jedyny paradował z lokami w stylu Puszkina. I jeszcze, ten uprzejmościowy zwrot: „Dora Izrailiewna” mamie się bardzo podobał. Dlaczego? Bo w Polsce nikt by się w tak naturalny sposób nie odniósł z szacunkiem do jej żydowskiego pochodzenia. Na tym polegała specyfika ZSRR, a Syberii szczególnie. Było to wielonarodowe środowisko, w którym żydowskość mojej mamy nie wywoływała jakiegoś szczególnego oddźwięku, żadnego specjalnego wrażenia. Ordynatorem szpitala także była Dora Izrailiewna, i nie było w tym nic specjalnego. W Polsce, szczególnie tej po śmierci Marszałka, nie byłoby to rzeczą tak naturalną. W tym okresie antysemityzm w Rosji był bez porównania słabszy, niż w Polsce, i Żydzi z wszystkim problemami, głodem i chłodem, ograniczeniami religijnymi i klasowymi, czuli się bardziej równouprawnieni, niż w sanacyjnej Polsce.

Jeszcze a propos drugiej Dory Izrailiewnej, ordynatorki szpitala. Ona była bezdietna i patrzyła z troską na walkę o wytrwanie, jaką prowadziła młoda, samotna kobieta z synkiem. Chciała mnie adoptować. „Będziesz wolna” – mówiła do mojej matki – „wyżyjesz. Będziesz mogła iść na front”. Nie zdołała mamy przekonać, ale mimo to pomagała jej. Być może to od niej dostałem drogocenny tran. A może z „placówki” od Pana Pająka i jego zastępcy, mecenasa Hellera, podpisanego na rosyjskich telegramach do ambasady RP w Kujbyszewie, w których prosił o kolejną pomoc pieniężną. Ale było jeszcze jedno źródło utrzymania, z którego czerpała mama, by wytrwać materialnie. Tolek dotarł do Palestyny i zaczął regularnie przysyłać paczki (a w nich bieliznę, suknie, spódnice, które mama potem na bazarze zamieniała na żywność). Były tam także rzeczy dla mnie. Pamiętam na przykład błękitną, zimową piżamkę, z amerykańskimi gwiazdami na mankietach (powędrowała z upalnego Tel Awiwu aż do mroźnego Ałdanu). Pamiętam też herbatniki, delikates niewyobrażalny na dalekiej Syberii. Leżał pod łóżkiem i mama od czasu do czasu sięgała po niego w nocy, aby mnie poczęstować. Spaliśmy w

jednym łóżku. Ja przy ścianie. Nasza przestrzeń życiowa (przeżyciowa) poszerzyła się nieco, gdy Ania Burakowa pojechała na Kamczatkę na kurs radzistek, czyli łączniczek wojskowych. Potem zo-stała wysłana na front. Mama jej zazdrościła. Burakow miał jeszcze synów, którzy walczyli na froncie. Jestem wdzięczny mamie za to, że zapamiętała nazwisko tych naszych „dobrych Samarytaninów z Ałdanu”. Nieraz o nich opowiadałem. Teraz po raz pierwszy o nich piszę.

Obok Ani, utkwilo mi w pamięci imię tioti (cioci) Szury. Ale to już było na Powołżu. Co znamienne, pomimo, iż cała nasza rodzina, i to z obu stron, została „wycięta w pień” przez nazistów, moje wczesne dzieciństwo upłynęło w przestrzeni zapełnionej „ciociami” i „wujkami”. Za moich czasów, dzieci w Rosji zwracały się do dorosłych per „tiotia” i „diadia”, czyli „ciociu” i „wujku”. Wracając do cioci Szury, to mogę o niej opowiedzieć już z moich własnych wspomnień. Stalin, niczym Nabuchodonozor, podczas wojny przesuwiał całe narody. Powołżscy Niemcy zostali wygnani do Kazachstanu podczas wojny, a polscy uchodźcy z Syberii przewiezieni nad Wołgę. Pamiętam nazwę miasta, w którym osiedliśmy się wtedy. Nazywało się Mariental i leżało obok większego miasta Engels. To był już rok 45. Czuliśmy, że stąd już, kierunek tułaczki prowadzi tylko do Polski. Mieszkaliśmy w takich dużych barakach z przegródkami dla rodzin. Pamiętam, że były tam prawie same kobiety. Mężczyzn było mało. W ogóle, jako dziecko, rosłem w babinie. (Szczególnie pamiętam Anię, która opiekowała się mną, gdy mama była w pracy lub kiedy byłem chory. Widzę jej postać pochyloną nad balią z pra-niem.) Mężczyzn rzadko widywało się na ulicach, a jeżeli już, to inwalidów. Nieprzypadkowo jedna z moich zabaw polegała na tym, że naśladowałem mężczyzn chodzących o kulach. Jak w każdym żydowskim miasteczku, także w tym polsko-żydowskim obozowisku mieliśmy swego „meszuga”, czyli wariata. Był to wyrośnięty, lecz niedorozwinięty nastolatek. Kilka razy dziennie przybiegał do swojej matki i na cały głos obsesyjnie pytał w języku jidysz: „mame, mame, der tate hot shojn giesztorbn?” (Mamo, mamo, czy tata już umarł?)

W „dietsadzie” miałem pierwszego koleżkę. Nazywał się Grisza i uczył mnie jak podbierać w ogródkach maliny i inne owoce. A tiotia Szura, jego matka, która często odbierała nas razem z przedszkola, karmiła nas wspaniałymi, soczystymi, czerwonymi arbużami-kawonami. Dzięki niej, no i dzięki Griszy po raz pierwszy poznałem smak cukru. Jej starszy syn dostał urlop z frontu. Był chyba ranny i ze szpitala odpuścili go do domu. Pamiętam, jak wyciągnął ze swojego trójkątnego plecaka, (jaki można zobaczyć w rosyjskich filmach o wojnie) kawałek brązowego cukru podobnego do zabrudzonego kawałka szkła, przełamał go na pół i dał do polizania swemu młodszemu braciszкови Griszy, a przy okazji także jego koleżce Karłuszcy.

Do Polski ruszyliśmy w kwietniu czy maju 46 roku. Jechaliśmy długo, długo. Pamiętam siebie w Tiepluszce (towarowym wagonie), siedzącego przy drzwiach i majtającego nogami na zewnątrz. Oczywiście, mama na wszelki wypadek obejmowała mnie z tyłu, lecz zależało jej, abym oddychał świeżym powietrzem. Nie wiem, dlaczego widok bezkresnych pól, które wtedy przewijały mi się przed oczyma, do dzisiaj kojarzy mi się z zawrotem głowy, z jakimś takim szerokim oddechem śpiewu kobiecego w rosyjskich pieśniach ludowych. Szczególnie dramatyczne były postoje. Ludzie od razu zrywali się, aby załatwić swe potrzeby przy wagonie, albo zaopatrzyć się w „kipiatok” (wrzątek) na stacji, i wrócić przed ponownym ruszeniem pociągu. W związku z tym, sam miałem dramatyczną przygodę. Ze strachu i ze stresu nasikałem do czyjejs bańki na wrzątek. Jej właściciel w pierwszym odruchu chciał mnie zabić. Mama mnie wybroniła. Ta powrotna podróż do Polski też była trudna, ale przecież w istocie była optymistyczna. Przeżyliśmy, i już jako repatrianci wracaliśmy do kraju, aby spotkać się z ojcem. Nie pamiętam, kiedy przekroczyliśmy granicę. Pamiętam natomiast datę naszego przyjazdu do Łodzi. (Mama nigdy już nie wróciła do Opatowa, miejsca jej urodzenia, gdzie zginęła cała jej rodzina... Po prostu, bała się tam wracać.) Zeszła z pociągu w Łodzi i bezskutecznie szukała swych towarzyszy. To było 3 czerwca 1946 r. Pamiętam, że wszyscy w wagonie nagle bardzo spoważnieli słuchając wiadomości. Mówiono o zgonie wszechrosyjskiego starosty Kalinina, tego samego, którego według legendy rodzinnej miano poprosić o zwolnienie mojej mamy z zesłania. Znałem jego portret z kozią bródką, bo nie mając innych zabawek, bawiłem się obrazkami z gazet. Mama wróciła do wagonu i pojechaliśmy na Dolny Śląsk. Tam tworzyła się nowa, bardzo energiczna, żydowska społeczność motywowana powojennym zrywem do życia. Tam też wchodziłem w swoją kolejną tożsamość: z Karłuszy stałem się Karolkiem (choć niektórzy Polacy, patrząc na moje żydowskie oczy, nazywali mnie Dawidkiem). Jednak jeszcze przez wiele lat mawiałem „czort” i „awtamat”, a grając „w wojnę” z dziećmi na podwórku, zamiast „hende hoch!”, mówiłem „ruki w wierch!”. Nie byłem dzieckiem Holokaustu. Byłem dzieckiem „My pabiedili” - myśmy zwyciężyli. Z tym przeświadczeniem wyszedłem z wojny. I to pozostało we mnie na całe życie.

### Trochę szczęścia, czyli mniejsze zło jest większym dobrem

Na zakończenie tego eseju, porzucając wątek biograficzny, wrócę do pytań historyzoficznych i etycznych, aby podsumować to, co właściwie chciałem tu udowodnić. Moje myśli są zupełnie indywidualne. Myślę, że z naszkicowanych tu biografii można jednak zrozumieć, dlaczego w dzieciństwie utożsamiliśmy się właśnie z Armią Czerwoną. Pomimo, iż głodowaliśmy, tułaliśmy się po całej Rosji i cierpieliśmy od chorób, to jednak nie byliśmy poniżeni i pohańbieni. Nie byliśmy też z góry skazani na śmierć, jako insekty, przeciwko którym trzeba dokonywać „dezynfekcji”. W Gułagu nie byliśmy nawet odizolowani od reszty społeczeństwa. Co więcej, nasi ojcowie mieli prawo do walki z

Hitlerem w szeregach tej armii. A to bynajmniej nie było samo przez się zrozumiałe. Komenda AK, nawet ta bardziej oświecona jej część, nie użyła polskim Żydom tego prawa. Bojownicy ŻOB-u, z Antkiem Cukiermanem na czele, musieli w końcu przyłączyć do szeregów AL, aby móc walczyć bez ukrywania swego pochodzenia. Tymczasem nasi ojcowie walczyli i zwyciężyli. Jeden na linii frontu, drugi w Armii Truda, inny w Stroj Batalionach, czyli pomocniczych jednostkach budowlanych.

Szyfra Sharf, ocalona w ZSRR, pisze w swoich wspomnieniach: „Od momentu, kiedy pojawiliśmy się w Polsce, wiedzieliśmy, jakimi szczęściami byliśmy będąc w Rosji, bo przetrwaliśmy” . Z tego względu, jej zdaniem „ZSRR było ważniejsze niż Palestyna” . Dawid Sfarid wybitny żydowski i polski poeta piszący w języku jidysz, notował po wojnie, w 1946 r.: „byliśmy uratowani nie tylko fizycznie, ale i duchowo” . Dlatego uważam, że obwinianie o zdradę tych Żydów z Zachodu, którzy przeszli do strefy okupacji sowieckiej i tej żydowskiej młodzieży, która przyłączyła się do wycofującej się częściowo sowieckiej armii, jest zaślepieniem nacjonalistycznym zrodzonym z mitu „Żydokomuny”. Uważam, że gdyby ich było więcej, więcej też by się z uratowało. Jak wiemy, to była tylko niewielka część polskich Żydów, a wśród nich tylko małą część stanowili komuniści. Dlatego powielanie starego mitu Żydokomuny jest w tym kontekście brakiem „pluralizmu wrażliwości”, utrwalaniem zgubnych stereotypów na temat relacji polsko-żydowskich, o których już wspominałem na wstępie.

To nas sprowadza do generalnego, filozoficznego i historycznego problemu „absolutnego zła” i „mniejszego zła”, o których w swojej słynnej Etyce pisał Baruch Spinoza.

Z całą pewnością pakt Ribbentrop-Mołotow był niemoralny. Także Związek Radziecki drogo za niego zapłacił. Iluzja pokoju z nazistowskimi Niemcami zrodziła stan nieprzygotowania do wojny i ogromne straty w jej początkowych fazach. Ale jednak była różnica między dwiema okupacjami. Nie można zrównać przestępczych wywózek na Sybir 330000 ludzi, z których 90% po półtora roku wyszło na wolność, z niemiecką polityką ludobójstwa w Polsce: planowanym mordowaniem polskiej inteligencji bez względu na jej pochodzenie narodowościowe oraz gettoizacją Żydów oznaczającą celowe wyniszczenie głodem i chorobami ludności żydowskiej, która przecież także zaliczała się do polskich obywateli. Władysław Sikorski to widocznie rozumiał i w lipcu 1941 roku, z początkiem wojny nazistowsko-sowieckiej podpisał akt współpracy z ZSRR. Natomiast Władysław Raczkiewicz, prezydent RP nie podpisał, bo chyba nie rozumiał, albo nie chciał rozumieć różnicy między Stalinem a Hitlerem w tym kontekście historycznym.

Z moim poczuciem ocalenia, uratowania życia nie może zgodzić się określenie „dwie okupacje” po wojnie, po zwycięstwie nad hitleryzmem. Owszem, po wojnie Polska była zniewolona, nie była

suwerennym państwem. Ale przecież naród polski został wyzwolony od hitlerizmu, od niebezpieczeństwa Zagłady. Przecież dobrze wiemy, że po Żydach w kolejce do Zagłady stali Polacy i inne narody słowiańskie, które miały być częściowo zesłane lub wymordowane, w każdym razie, miały zamienić się w „untermentschen”, „podludzi”, coś w rodzaju „robactwa”. Wiemy to z hitlerowskiego „General Planost”-u. A jak pokazuje smutne doświadczenie historyczne, Hitler w swych „obietnicach” był bardzo słowny i dosłowny. Z tego względu uważam, że jest faktem historycznym, że naród polski został ocalony przez Armię Czerwoną, aliantów i polskie siły zbrojne. A to nie jest bagatela, ocalić egzystencję narodu. Moim zdaniem, mówienie o „dwóch okupacjach po 45r.” i zrównywanie ich w dyskursie na temat historii Polski jest szczytem niewdzięczności, szczególnie wtedy, gdy wyraża się w efekcie bezczeszczeniem grobów radzieckich żołnierzy pochowanych na ziemi polskiej w drodze do Berlina. Nierozróżnianie między historyczną wyzwalającą, uniwersalną misją tych żołnierzy, a zbrodniami Stalina, jest spojrzeniem małostkowym i bardzo krótkowzrocznym.

Janusz Korczak pisał w swojej „Odezwie do Żydów” w getcie: „Kto ucieka od historii, tego historia dogoni” . Nacjonalistyczna perspektywa historyczna, wyeliminowanie wszelkiego uniwersalnego przestępstwa jest ucieczką od historii. I odnosi się to zarówno do Żydów-Izraelczyków pogrążonych w tragicznym konflikcie grożącym faszyzującym apartheidem w Izraelu, jak i do „narodowych” Polaków oraz w ogóle do wszelkich nacjonalizmów, które ostatnio, jak grzyby po deszczu, wyrastają w Europie. Jako człowiek przez całe życie zaangażowany w budowanie pokojowych relacji polsko-żydowskich obawiam się, że kiedy kolejny raz historia nas dogoni, trudno będzie zrobić poprawkę, bo na razie nie widzę próby dyferencjacji między absolutnym złem, jakim był hitlerizm, a głęboką traumą „komuny”. Zauważam natomiast pobłażający stosunek do galopującego nacjonalizmu, z którego, jak nowotwór, może się zrodzić neofaszyzm.

Moim skromnym zdaniem, historia przeżycia tej garstki ludzi z mojego pokolenia, których tu opisałem, jest warta zapamiętania właśnie, jako przykład tego podstawowego rozróżnienia, które podkreślał Baruch Spinoza.



## „Mam marzenie”

Katarzyna Łaziuk<sup>3</sup>

W 1963 r. w Waszyngtonie odbył się marsz pokojowy na rzecz praw obywatelskich, podczas którego dr Martin Luther King wygłosił słynne przemówienie znane pod tytułem *I have a dream* (*Mam marzenie*). Wyraził w nim swoje marzenia dotyczące równego traktowania czarnych i białych obywateli Stanów Zjednoczonych. Przyczynił się do zniesienia segregacji rasowej, za swoje działania w 1964 r. otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Czy marzenie Kinga spełniło się?

Kampania społeczna *Black Lives Matters* (*Życie czarnych jest ważne*) rozpoczęta w 2013 r. kwestionuje zakończenie kultury rasizmu wobec Afroamerykanów. Liderzy ruchu protestują przeciw bezkarnym zabójstwom czarnych. Upominają się o ich godność, szacunek i sprawiedliwość. Twórcy i bohaterowie filmu dokumentalnego *Spill the honey* przede wszystkim opowiadają historię Ruchu na Rzecz Praw Obywatelskich, ale także odnoszą się do współczesnych problemów czarnych. Martin Luther King to oczywiście czołowa postać wspomnianego ruchu, który do wprowadzenia zmian społecznych potrzebował pomocy innych. Jedną z osób wspierających pastora był Abraham Joshua Heschel, żydowski teolog, filozof i pisarz. Wyniósł on lekcję z gorzkich doświadczeń Holocaustu, czuł potrzebę zaangażowania się w ruch społeczny na rzecz wykluczonych, w tym wypadku Afroamerykanów. Dla niego Holocaust nie ograniczał się do traumy Żydów, zmieniające się okoliczności, adresaci i czas nie zmieniły mechanizmów działań wobec innego, traktowanego jako gorszego.

21 sierpnia 2016 r. w National Archives (Archiwa Narodowe) w Waszyngtonie miało miejsce niecodzienne spotkanie odbywające się w ramach festiwalu filmowego *March on Washington*. Zgromadzeni goście, artyści oraz organizatorzy wydarzenia mieli wspólny cel – uhonorowanie czarnych i Żydów w walce o prawa obywatelskie. Zdobywca Oscara, założyciel fundacji Ericism Louis Gossett Jr. odczytał fragment mowy Kinga, który był wprowadzeniem do tematyki filmu *Spill the honey*. Bohaterowie obrazu obecni na sali teatralnej po projekcji wzięli udział w dyskusji panelowej. W komentarzach odnieśli się do relacji, jaka łączyła ich z Kingiem oraz do własnych doświadczeń. Susannah Heschel, córka filozofa, opowiedziała o bardzo wymownym wydarzeniu, które miało miejsce tuż przed rozpoczęciem marszu na Salmę. Zanim liderzy ruchu wyszli na ulicę, modlili się. W

<sup>3</sup> Nauczyciela języka angielskiego w Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym im. Polskiej Macierzy Szkolnej w Mińsku Mazowieckim, Ambasadorka Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

jednym rogu pokoju King, w drugim Heschel, a jeszcze innym katolicki ksiądz. Dla nich marsz był doświadczeniem religijnym. Dla Heschela sprawdzianem z bycia Żydem. Nie chodziło wyłącznie o rasizm w Ameryce, ale rasizm w sercu, wspólnocie<sup>4</sup>. Film *Spill the honey* jest hołdem złożonym działaczom pokojowego ruchu, którego tytuł wyjaśnił panelista pastor Gerald Durney. Dosłowne tłumaczenie 'rozlać miód' należy rozumieć jako rozlewanie dobra na innych, słodycz łagodzi obyczaje. Susannah Heschel jest profesorem Studiów Żydowskich w Dartmouth College. Jej zainteresowania badawcze dotyczą relacji pomiędzy chrześcijanami a Żydami w Niemczech w XIX i XX wieku, historii antysemityzmu, judaizmu, nazistowskich Niemiec, feminizmu oraz poglądów Żydów dotyczących islamu. Jest autorką licznych publikacji o wspomnianej tematyce. Jej książka *Abraham Geiger and the Jewish Jesus* zdobyła nagrodę National Jewish Book Award. Susannah Heschel otrzymała cztery honorowe doktoraty uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Niemczech. Jest członkinią The American Society for the Study of Religion (Amerykańskiego Stowarzyszenia Badań nad Religią). Prywatnie Susannah jest żoną geologa i mamą dwóch córek. Obecnie prowadzi zajęcia na uniwersytecie w Bostonie. Susannah wiedziała o związkach jej rodziny z Mińskiem Mazowieckim, lecz nigdy nie miała możliwości odwiedzenia miasta przodków. Jednym z prezentów, które przywiozłam dla niej z Polski, był album ze zdjęciami współczesnego Mińska. Oprócz zdjęć Starego Rynku, Pałacu Dernałowiczów, Kościoła NMP oglądała zdjęcia macew z cmentarza żydowskiego. Dzięki temu, że macewy są skatalogowane i każdy może sprawdzić ich opisy w Internecie, udało mi się ustalić, które z nich należą do jej praprababci i pradziadka. Z ogromnym zainteresowaniem i ciekawością Susannah odczytała po hebrajsku informacje z macewy praprababci Miriam Dwojry. Córka filozofa dopytywała mnie o życie w Mińsku, o jego mieszkańców, o ewentualną reakcję mieszkańców na film *Spill the honey*. Była ucieszona, że w naszym mieście organizowane są różnorodne wydarzenia na rzecz pamięci o mińskiej społeczności żydowskiej. Cieszy mnie, że tak mądra, wykształcona osoba jest potomkinią mińskich Żydów. Nurtuje natomiast powracające pytanie, co by było, gdyby historia potoczyła się inaczej?

Osiągnięcia pradziadka Susannah cadyka Jakuba Perłowa są dość znane. Syn Szymona z Zawichostu założył w Mińsku Mazowieckim jesziwę. Uczyło się w niej około 200 uczniów, szkoła posiadała bursę i jadłodajnię. Jej rektorem był Moses Mass z Siemiatycz. Po jego śmierci następcą został syn Alter Izrael Szymon Perlow. W 1916 r. cadyk przeniósł swój dwór do Warszawy<sup>5</sup>.

<sup>4</sup> <http://www.momentmag.com/susannah-heschel-on-the-legacy-of-her-father-rabbi-abraham-joshua-heschel-and-the-civil-rights-movement/>

<sup>5</sup> <http://www.sztetl.org.pl/pl/article/minsk-mazowiecki/5,historia/>

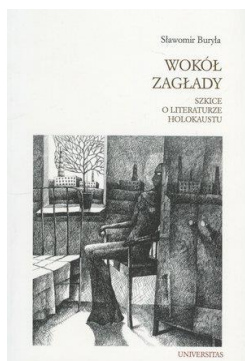
Jednak niewielu ludzi w Polsce wie, jak znaczącą postacią jest kuzyn Susannah, nowomiński rabin Yaakow Perlow, znany w świecie jako Novominsker Rebbe. Ogromne znaczenie rabina dla Żydów jest nieproporcjonalne do skromności jego osoby. Mieszka w Brooklinie w Nowym Jorku, w małym pokoiku wyposażonym zaledwie w łóżko i biurko. Stoi na czele amerykańskiej organizacji Związek Izraela, konserwatywnej partii politycznej utworzonej w 1912 r., deklarującej ortodoksyjny judaizm oraz wierność zasadom halachy (prawa żydowskiego), traktowanej jako podstawa życia społeczności żydowskiej (Agudath Israel of America)<sup>6</sup>. Rabin kontynuuje chasydzkie tradycje ruchu nowomińskich Żydów. Poza tym jest głową Council of Torah Sages - Urzędu do Spraw Tory.

Choć od słynnej demonstracji minęło już ponad 60 lat, słowa i marzenia Kinga o wolności i równości nie tracą na aktualności. Orędownik równouprawnienia marzył, aby ludzie darzyli się wzajemnym szacunkiem bez względu na kolor skóry, wyznanie czy poglądy. Tragiczne wydarzenia, akty terroryzmu, które zdarzają się na całym świecie, uzasadniają potrzebę podjęcia zdecydowanych działań na rzecz pokoju na świecie. Marsz na Waszyngton, Monachium, Paryż, Niceę nadal trwa.

Nie dane mi było - z oczywistych względów - pójść w marszu z Martinem Luterem Kingiem i Abrahamem Joszą Heschelem. Jednak ja także *I have a dream*. Bardzo chciałabym, aby w Mińsku Mazowieckim powstała sala pamięci dedykowana mińskiej społeczności żydowskiej.

<sup>6</sup> <http://www.sztetl.org.pl/pl/term/369,agudas-isroel/>

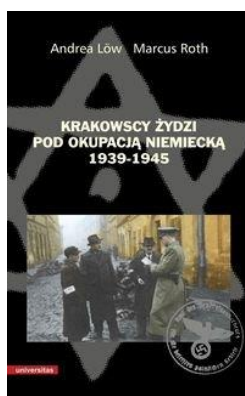
## Noty o książkach



*Wokół Zagłady* to zbiór artykułów prof. Sławomira Buryły, omawiających tematykę Holokaustu w prozie XX wieku. W części I znajdziemy m.in. rozważania o najwcześniejszych przedstawieniach eksterminacji Żydów w prozie polskiej, topice Zagłady, obecności Szoa w świecie popkultury, jak też obrazie hitlerowskiego oprawcy w literaturze polskiej. W części II zgromadzono artykuły o twórczości mniej znanych pisarzy podejmujących wątek Zagłady.



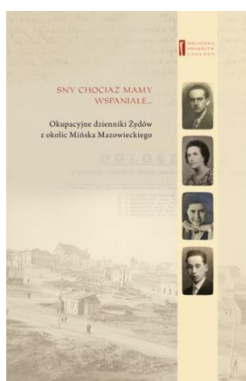
W książce zaprezentowano wyniki badań nad antysemityzmem w Polsce z 2012 r. w porównaniu z wynikami badań przeprowadzonych roku 1992 i 2002. Wskazują one, że z jednej strony demokracja sprzyja odrzuceniu wrogości wobec Żydów - odsetek antysemitów spadł znacząco w porównaniu z 2002 rokiem. Z drugiej jednak strony - co głosi podstawowa teza raportu - antysemityzm stał się częścią szerszego światopoglądu ideologicznego, nazwanego światopoglądem narodowo-katolickim. Wyniki wskazują także na smutny fakt, że polska religijność i wielu przedstawicieli Kościoła wyraźnie wpływają na utrzymywanie się postaw antysemickich.



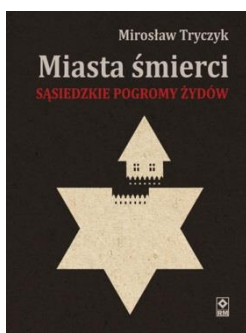
Mimo że film *Lista Schindlera* Stevena Spielberga odniósł światowy sukces, a zainteresowanie historią krakowskich Żydów nie słabnie, to o reakcjach i zachowaniach samych prześladowanych podczas drugiej wojny światowej wciąż wiemy stosunkowo niewiele. Andrea Löw i Marcus Roth opisują przede wszystkim wyczerpująco historię i dzieje ludzi mieszkających w jednym z największych gett w Polsce. Korzystając z licznych wspomnień, pamiętników i dokumentów w języku polskim, niemieckim i angielskim tworzą naukowy, a zarazem plastyczny obraz życia Żydów w okupowanym Krakowie. W centrum ich zainteresowania stoi nie masa anonimowych i rzekomo biernych ofiar, lecz myślących, działających, czujących jednostek.



Tom składa się z trzech tekstów, napisanych przez trzy niezwykle kobiety, ukrywające się w okolicach Dąbrowy Tarnowskiej. Chaja Rosenblatt i Rywka Schenker urodziły się na początku lat dwudziestych, Melania Weissenberg w 1939 r. miała zaledwie dziewięć lat. Chaja i Rywka spisały własne wspomnienia wkrótce po wojnie, a Melania prowadziła swój dzienniczek na bieżąco, od wiosny 1942 aż do wyzwolenia w styczniu 1945 r. Mimo różnicy wieku i odmiennych typów narracji trzy prezentowane teksty łączą się i uzupełniają na wiele sposobów oraz na wielu płaszczyznach.



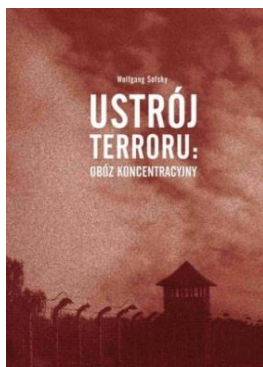
Tom składa się z czterech dzienników, napisanych przez dwóch mężczyzn i dwie kobiety z okolic Mińska Mazowieckiego. Łączy ich nie tylko pochodzenie, wychowanie w religijnych domach i przywiązanie do tradycji – należą także do pierwszego, wychowanego w niepodległej Polsce pokolenia Żydów, świadomego zarówno swojej żydowskości, jak i swoich praw obywatelskich. Kształcili się w polskich szkołach, angażowali się w działalność żydowskich organizacji młodzieżowych, byli świadomi narastającego w Polsce antysemityzmu, być może myśleli o emigracji. Po wybuchu wojny i wkroczeniu Niemców Brandla, Chaja, Adam i Eli podzielili los wszystkich polskich Żydów – prześladowania, poniżenia, upokorzenia, następnie opaski, prace przymusowe, w końcu getta. W czasie wysiedlenia ukryli się lub uciekli z gett. W kryjówkach pisali swoje dzienniki ...



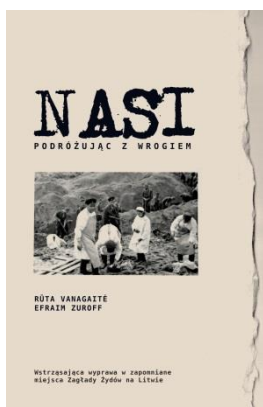
To, co działo się w lecie 1941 roku na dzisiejszej Białostocczyźnie oraz na dawnych terenach Polski, zwanych przez Sowietów Zachodnią Białorusią, w miejscowościach Jedwabne, Radziłów, Szczuczyn, Rajgród i wielu innych, było straszne. Autor cytuje relacje świadków i ofiar pogromów antyżydowskich jakie przetoczyły się przez polskie wsie i miasteczka latem 1941 r., analizuje związki pomiędzy obecną w prasie i życiu społecznym ideologią narodową, nacjonalistyczną i antysemitką a wystąpieniami antyżydowskimi. Wiele uwagi poświęca także procesowi powojennego ukrywania i fałszowania prawdy o polskim udziale w holokauście.



Prof. Yehuda Bauer przyznaje, że do zajęcia się historią Zagłady skłoniło go przerażenie. Ogarnięty tym przerażeniem, po latach sformułował własną interpretację wydarzenia, do którego – jak twierdzi – nie musiało dojść. „Przemyśleć Zagładę” – jedna z najważniejszych książek historyka światowej sławy – wreszcie, z wieloletnim opóźnieniem, trafia do rąk polskiego czytelnika. To elementarz dla wszystkich próbujących lepiej zrozumieć świat, w którym żyjemy.



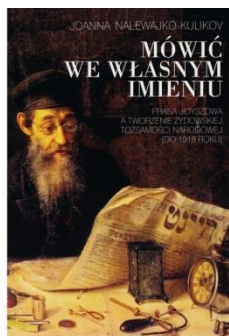
Wolfgang Sofsky w swojej książce pomija historyczne okoliczności powstania i funkcjonowania obozów koncentracyjnych. Obóz koncentracyjny ujmuje jako obszar zamknięty, enklawę absolutnej władzy człowieka nad człowiekiem. Skupia się na opisie samych form przemocy, która w tym ujęciu przedstawia się jako antropologiczna stała, zakorzeniona w ludzkiej naturze. Metody badawcze i tezy Sofsky'ego, kontrowersyjne i szeroko dyskutowane, otwierają nowy rozdział w badaniach zarówno nad narodowym socjalizmem, jak i nad zjawiskami przemocy i terroru.



Efraim Juroff i Ruta Vanagaite, opisują swoją podróż po Litwie w poszukiwaniu żyjących świadków masowych egzekucji na ludności żydowskiej w latach 1941–1944. W żadnym innym kraju zbrodnie nazistowskie nie były dokonywane na taką skalę. Niemcom aktywnego wsparcia udzielali kolaboranci ze specjalnej litewskiej formacji wojskowej. „Nasi” byli tymi, którzy zabijali, i tymi, których zabijano. To historia o zabójcach i zabitych. O Litwinach i Żydach. O tym, co się stało przed 75 laty na litewskiej ziemi, na której wciąż jest bardzo dużo antysemityzmu. Chociaż Żydów praktycznie już nie ma, nienawiść pozostała. Nawet motywy zostały te same: że Żydzi to komuniści i wrogowie. Książka niezwykle ważna dla wszystkich, którzy pragną poznać i zrozumieć litewsko-żydowskie rozliczenia z nieodległą przeszłością.



Powoli i mozolnie dowiadujemy się, czym był Auschwitz-Birkenau. Zapominamy o nim i odkrywamy go na nowo. Mimo intensyfikacji globalnych badań i interpretacji w ostatnich dwóch dekadach przegrywamy walkę z czasem, ponieważ na naszych oczach odchodzą ostatni świadkowie faktycznego Auschwitz – ci, którzy przeżyli, aby nieść świadectwo, a jednak po wyzwoleniu napotykali często na mur niezrozumienia, obojętności i globalnej ciszy. Czym jest Auschwitz dla współczesnych i jak wielotorowo skonstruowana jest pamięć o nim? Czym jest Auschwitz dla mnie i innych? Czy pamięć o skrajnym doświadczeniu cierpienia wraz ze strachem dają gwarancję naszej większej odpowiedzialności i aktywności przeciwko zbrodniom ludobójstwa, czy świadczą jedynie o fascynacji radykalizmami? Na te i wiele innych pytań stara się odpowiedzieć Tomasz Cebulski, autor tej pasjonującej i ważnej książki.



Książka Joanny Nalewajko-Kulikow wypełnia lukę w dotychczasowej historiografii Żydów wschodnioeuropejskich, opisując powstanie prasy codziennej w języku jidysz jako zjawiska społecznego z pogranicza kultury masowej, historii idei i kultury politycznej. Na szeroko zarysowanym tle historii wielojęzycznej prasy żydowskiej w Cesarstwie Rosyjskim w XIX w. pokazała przełomową rolę rewolucji 1905 r. i warszawskiego dziennika „Hajnt” oraz wpływ tzw. litwaków na rozwój nowoczesnej tożsamości narodowej Żydów polskich.